7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



KARNAWAŁ SIĘ KOŃCZY (fot. Metro.)

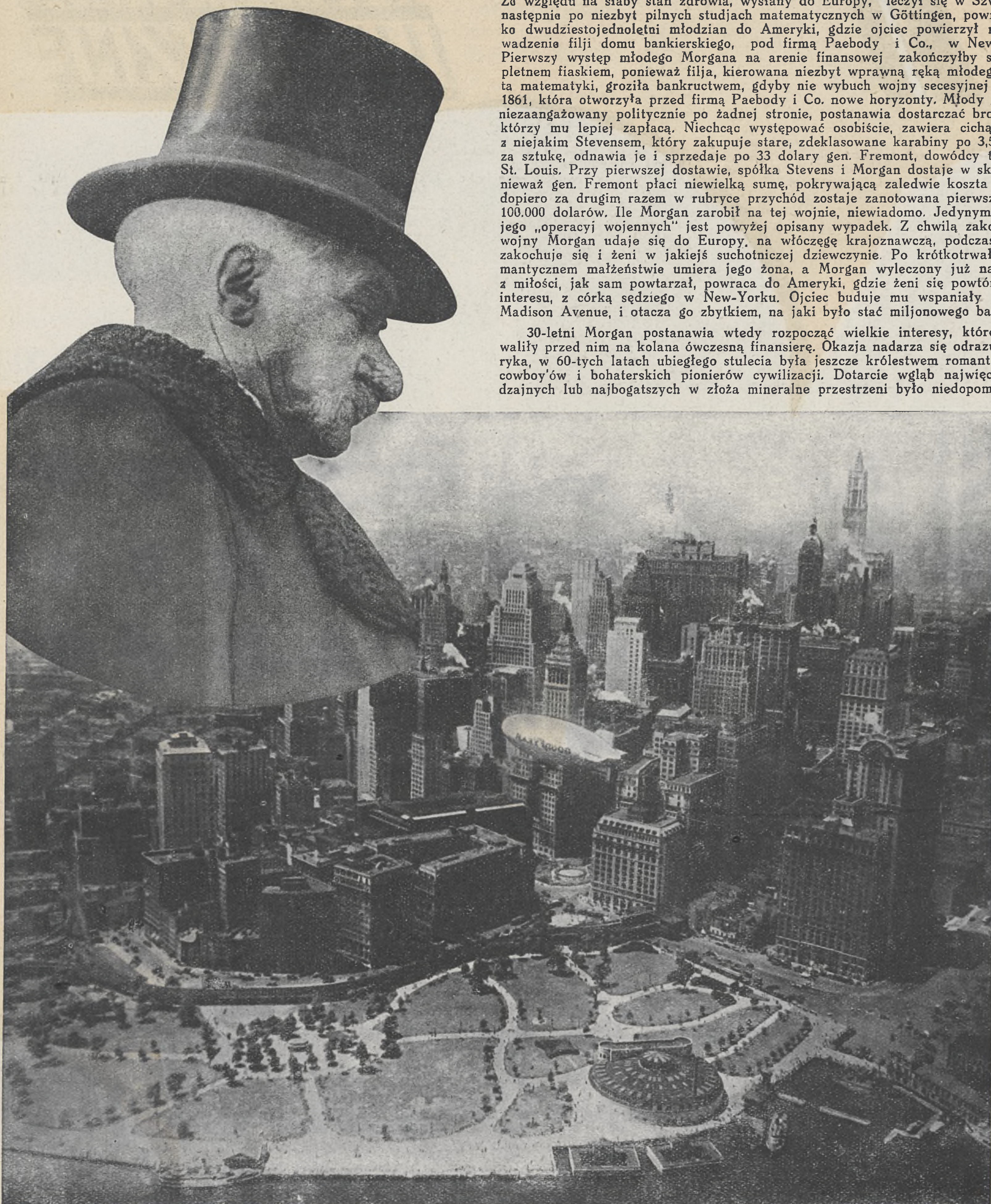
„Nędzarz" z Wallstreet

Wielkie rozczarowanie zapanowało w City londyńskiem oraz na Wallstreet nowojorskiej, kiedy ogłoszono postępowanie spadkowe po zmarłym Johnie Morganie, uważanym za najbogatszego człowieka świata. Cały pozostały kapitał stanowił „zaledwie" 78 miljonów dolarów, przyczem wykonawcy testamentu otrzymali zgłoszenia wielu wierzycieli, na sumę blisko 9 miljonów dolarów. Gdzie mógł, zmarły król finansów tak się wysoko zadłużyć nikt przedtem nieprzypuszczał. Dopiero jeden z niedyskretnych skrybów doradcy prawnego Morgana zdradził, że pomiędzy najrozmaitszemi wierzytelnościami figurowała suma 6 dolarów, za zakupiony ongiś przez zmarłego kapelusz, w firmie Dunlop.

To rozczarowanie, jakie zapanowało pomiędzy bogaczami anglo-amerykańskiemi, było zupełnie uzasadnione. Nimb potęgi finansowej i złuda gór złota, jakie otaczały przez całe życie Morgana, prysnęły w jednej chwili. Ci, którzy dawniej drżeli, na samo jego nazwisko, lub ci, którzy nieośmielali się zawrzeć najdrobniejszej tranzakcji, bez łaskawej aprobaty bankowego dyktatora, pluli sobie w brodę, że tak długo dali się wodzić na złudnym pasku jego pieniężnej wszechmocy. A, że uginali przed nim dumne karki nawet najwięksi dollarsmani, o tem swiadczy jego całożyciowa karjera.

Karjerę swoją, John Pierpont Morgan, rozpoczął wbrew szablonowi, który każe, by wielcy miljarderzy amerykańscy rozpoczynali jako gazeciarze, lub też boye hotelowi. John Pierpont Morgan przyszedł na świat 17 kwietnia 1837 roku, w Harttord, leżącem pomiędzy New-Yorkiem i Bostonem. Był on wnukiem biednego emigranta angielskiego, założyciela małego hoteliku w Ameryce, na którym dorobił się jakiejś okrągłej sumki dolarów, oraz synem bankiera, posiadającego dwa domy bankowe — w Londynie i New-Yorku. Od zarania swego życia zatem niezbywało mu na dostatkach, będących udziałem synów magnatów finansowych. Ze względu na słaby stan zdrowia, wysłany do Europy, leczył się w Szwajcarji, następnie po niezbyt pilnych studjach matematycznych w Göttingen, powrócił jako dwudziestojednoletni młodzian do Ameryki, gdzie ojciec powierzył mu prowadzenie filji domu bankierskiego, pod firmą Paebody i Co., w New-Yorku. Pierwszy występ młodego Morgana na arenie finansowej zakończyłby się kompletnem fiaskiem, ponieważ filja, kierowana niezbyt wprawną ręką młodego adepta matematyki, groziła bankructwem, gdyby nie wybuch wojny secesyjnej w roku 1861, która otworzyła przed firmą Paebody i Co. nowe horyzonty. Młody Morgan, niezaangażowany politycznie po żadnej stronie, postanawia dostarczać broni tym, którzy mu lepiej zapłacą. Niechcąc występować osobiście, zawiera cichą spółkę z niejakim Stevensem, który zakupuje stare, zdeklasowane karabiny po 3,5 dolara za sztukę, odnawia je i sprzedaje po 33 dolary gen. Fremont, dowódcy twierdzy St. Louis. Przy pierwszej dostawie, spółka Stevens i Morgan dostaje w skórę, ponieważ gen. Fremont płaci niewielką sumę, pokrywającą zaledwie koszta własne, dopiero za drugim razem w rubryce przychód zostaje zanotowana pierwsza suma 100.000 dolarów. Ile Morgan zarobił na tej wojnie, niewiadomo. Jedynym śladem jego „operacyj wojennych" jest powyżej opisany wypadek. Z chwilą zakończenia wojny Morgan udaje się do Europy, na włóczęgę krajoznawczą, podczas której zakochuje się i żeni w jakiejś suchotniczej dziewczynie. Po krótkotrwałem, romantycznem małżeństwie umiera jego żona, a Morgan wyleczony już nazawsze, z miłości, jak sam powtarzał, powraca do Ameryki, gdzie żeni się powtórnie dla interesu, z córką sędziego w New-Yorku. Ojciec buduje mu wspaniały dom na Madison Avenue, i otacza go zbytkiem, na jaki było stać miljonowego bankiera.

30-letni Morgan postanawia wtedy rozpocząć wielkie interesy, któreby powaliły przed nim na kolana ówczesną finansierę. Okazja nadarza się odrazu. Ameryka, w 60-tych latach ubiegłego stulecia była jeszcze królestwem romantycznych cowboy'ów i bohaterskich pionierów cywilizacji. Dotarcie wgłąb najwięcej urodzajnych lub najbogatszych w złoża mineralne przestrzeni było niedopomyślenia,



U góry jedno z ostatnich zdjęć Johna Pierponta Morgana. U dołu, widok z lotu ptaka na handlową część New-Yorku.

bez przeprowadzenia kolei żelaznych. To też przedsiębiorstwa prywatne budują liczne szlaki kolejowe, bezładnie i bezplanowo, konkurują ze sobą wysokoscią taryf i prowadząc nieraz walki rozbójnicze. Napady na konkurencyjne tory, niszczenie ich przez płatnych zbirów, były na porządku dziennym. Jednymi, z najbardziej przedsiębiorczych spekulantów kolejowych, byli Jay Gould i Jim Fisk, którzy ujęli w swoje dłonie kilka przedsiębiorstw kolejowych. Ulubionym ich trick'iem było skupywanie zobowiązań dyrekcyj kolejowych, a następnie ostrzeganie bankierów, przed udzielaniem kredytów bankrutującej kolei. W ten sposób prędzej czy później, linja kolejowa stawała się ich własnością. Akurat wtedy, znalazły się w złych interesach finansowych dwie linje Albany i Susquehanna. Gould i Fisk skupili wszystkie weksle. Dyrektor obu kolei, Tamsey, udał się o pomoc do Morgana. Ten, wyłożył znaczny kapitał wykupił weksle i... sam się stał właścicielem Albany i Susquehanna. Jednakże niechcąc uchodzić w oczach Wallstreet za spekulanta sam nie figurował, tylko ukrył się w cieniu nowego, utworzonego przez siebie przedsiębiorstwa. tem posunięciem zyskał sobie sławę eksperta w sprawach kolejowych i korzystając z przyjaznych dla siebie wiatrów na giełdzie nowoyorskiej połączył się z bankiem Dabney, a następnie z angloamerykańskim domem bankowym Drexlera. W ten sposób powstają dwa nowe przedsiębiorstwa pod nazwą: Dabnev, Morgan i Co. oraz Drexel, Morgan i Co., w których Morgan ma głos decydujący. W tym czasie 423 towarzystwa kolejowe bankrutuja. Tysiące ich akcyj spadają na wszystkich giełdach poniżej *pari*. Dwa banki Morgana zaczynają subsydjować bankrutujące koleje, obejmując przytem kontrolę finansową.

W roku 1889, Morgan zwołuje w swem prywatnem mieszkaniu tajną konferencję dyrektorów wszystkich linij kolejowych, na której proponuje utworzenie jednego kartelu, będącego pod jednem tylko kierownictwem finansowem, oczywiście jego, Morgana. Głównym argumentem Morgana był ten, że koleje, które walcząc ze sobą, obniżają bezustannie swe taryfy przewozowe, ulegną nieuniknionemu bankructwu. Natomiast kartel, niema się czego obawiać, chyba innego kartelu, którego narazie niema, natomiast on będzie dyktatorem taryf, na które wszyscy muszą się zgodzić. Tem prostem rozumowaniem Morgan stwarza potężne przedsiebiorstwo, które trzyma silną dłonią do końca swego życia.

W roku 1900 Morgan sięgnął po dwie nowe koleje, mianowicie Great Northern i Northern Pacific Railroad, oraz krótką bocznicę Chicago — Burlington. Wtedy wypłynął nagle, jego największy przeciwnik St. Edward Harriman z bankiem Kuhn, Löb i Co., mając za sobą w rezerwie Standard Oil Company, Rockefellera. Walka rozpoczęła się szablonowo. Obaj przeciwnicy rzucili setki agentów, wykupujących akcje wyżej wymienionych kolei. Popyt na akcje wpłynął na ich kurs, który osiągnął 1000 procent wartości. Zaangażowano olbrzymie kapitały. Po pewnym czasie okazało się, że obaj przeciwnicy są na remis. Nastąpiło porozumienie się, na którem drobni spekulanci zbankrutowali, ponieważ akcje spadły do swej poprzedniej wartości, natomiast Morgan i Harriman utworzyli Northern Securities Company, gdzie Morgan zajął naczelne stanowisko.

Równolegle ze spekulacjami kolejowemi John Pierpont Morgan, nie zaniedbuje innych gałęzi przemysłu. Między innemi proponuje Carnegie'mu kupno od niego stalowego trustu. Carnegie godzi się sprzedać mu swoje fabryki za sumę 447 miljonów dolarów. Zawrotnej tej sumy Morgan się nie przestraszył. Aby zdobyć odpowiednie kapitały stwarza towarzystwo akcyjne, pod nazwą United States Steel Corporation i wypuszcza akcyj na 1.400 miljonów dolarów. Akcje idą słabo, nikt niema do nich zaufania. Wtedy Morgan, chcąc podnieść ich kurs na giełdzie, oraz sprzedać pozostałe jeszcze w portfelu, zaczyna je sam skupywać, przez podstawionych ludzi, oraz wypłaca dywidendy. Spekulanci giełdowi, zaszachowani tem posunięciem wykupują resztę akcyj. Za zdobyty w ten sposób kapitał kupuje Morgan trust Carnegie'go, osiągając w ten sposób szczyt swej karjery.

Chciwemu potentatowi dolara, przychodzi do głowy myśl opanowania żeglugi na Oceanie Atlantyckim. W tym celu organizuje nowe towarzystwo akcyjne, International Mercantile Marine Company (I. M. M. C.), z kapitałem zakładowym 170 miljonów dolarów i skupuje wszystkie pomniejsze linje okrętowe. Leyland Line, Atlantic Transport Company, White Star Line, Dominian Line stają się wkrótce jego własnością. Flota nowego przedsiębiorstwa składa się ze 133 okrętów, pojemności 922.000 tonn. Nawet Albert Ballin, słynny niemiecki król okrętowy, właściciel Hamburg—America—Linie, nie może z nim konkurować i zawiera spółkę z Morganem. Jednakże niemiecki trust okrętowy, w skład którego wchodził również Nord-Deutscher-Lloyd, wiąże się potajemnie z angielską Cunard Line i wypowiada walkę Morganowi. Wybudowanie dwuch 32.000-tonnowych okrętów, „Lusitanji" i „Mauritanji" podcina nogi trustowi Morgana.

Morgan, który dzięki swemu sprytowi, potrafił stanąć na czele całego kapitału amerykańskiego, pierwszy wprowadza dolara na rynek europejski. Zaczyna on subsydjować Anglję w jej wojnie z Boerami. W ten sposób zostaje zaciągnięty, pierwszy europejski dług względem Ameryki.

John Pierpont Morgan w swem życiu prywatnem umiał doskonale pogodzić pracę, z wypoczynkiem, rozrywką i swym snobizmem. Często wyjeżdżał prywatnym swych yachtem na całomiesięczne wycieczki. Namiętnie grywał w golfa i namiętnie kolekcjonował dzieła sztuki. Pałac jego przy Madison Avenue, czy letnia rezydencja w Cracston nad Hundsonem były prawdziwemi muzeami, których wartość oceniali znawcy na 50 miljonów dolarów. Bibljoteka prywatna składała się z dziesiątków tysięcy tomów, wśród których nierzadko trafiały się „białe kruki". Zbiory swe kompletował osobiście, w ciągu licznych swych podróży do Europy i Azji. Podczas jednej z takich wycieczek artystycznych zmarł w Rzymie dnia 31 marca 1913 roku.

Podczas całego swego zaborczego trybu życia, często powtarzał zdanie, które stało w rażącej sprzeczności z jego czynami: „Poker — to najgorsza gra, ponieważ oparta jest na kłamstwie; wywiera ona zły wpływ na naszą młodzież, która się uczy, że tak samo w życiu, jak i w grze osiąga się cel podstępem i blufem. Człowiek, który nazwał pokera amerykańską grą narodową, winien być rozstrzelany".

Teatralne dziwy

„Kulisy są kabaretem sztuki" — pwiedział ktoryś z współczesnych pisarzy — „a teatr fabryką dziwów, które są dziwne tylko... zdaleka". Ale i zbliska różnie się te rzeczy widzi, zależnie od nastroju. Często widziana tak zbliska tragedja, wygląda humorystycznie, komedja zaś całkiem nie budzi śmiechu. Ludzie teatru są ludźmi niemal nieustannej pozy, a poza jest zaraźliwa. Lecz w teatrze skupiają się także błyski i słońca talentów, a przeto wszystko niemal, co teatru dotyczy, jest bardzo zajmujące. To też o ludziach teatru: artystach, autorach, kompozytorach i t. d. przeliczne ponotowano opowiadania i anegdotki, z których niektóre przypomnieć warto.

⁂

Np. genjalny Schiller! Wiadomo poszczególnie, że jego romantyczni „Zbójcy" niemałe osiągnęli powodzenie i że powodzenie to przetrwało długie lata. Ale czy wiecie o tem, czemu Schiller głównie przypisał to powodzenie? Nie wiecie? Otóż księżycowi, scenicznemu księżycowi! No, tak. Zupełnie poważnie. Sam Schiller o tem tak powiedział: „Zupełnie nowy księżyc z świecącemi rogami, nabyty za 12 guldenów i 18 krajcarów, niemało przyczynił się do powodzenia. Wyglądał tak, jak dotąd na żadnej scenie, i rozrzucał na całą okolicę (scenę, oczywiście) naturalne, a tragiczne (straszne) światło".

⁂

Przygoda Lessinga na premjerze „Emilji Galotti" w teatrze miejskim w Hamburgu była dosyć zabawna. Jako autor wiedział Lessing że teksty poetyckie ulegają często przeróżnym skrótom, nic jednak nie słyszał o żadnych uzupełnieniach i dodatkach. A oto co się dzieje. Znakomity Ludwik Schröder ukończył właśnie deklamować prolog, napisany jambami, gdy nagle z drugiej strony wkracza przed kurtynę pewien stary aktor i donośnym głosem wygłasza twierdzenie, że cnota wogóle raz tylko może być utracona! Twierdzenie to ujęte było w dość niezdarne wiersze, których autorem był dramaturg miejskiego teatru Chrystjan Bock. Podobno chciał się w ten sposób także przyczynić do powodzenia!

⁂

Inny znakomity poeta, Teodor Körner, debiutował w teatrze nie jako autor, lecz jako deklamator.

Körnera zawsze „ciągnęło" do teatru. Bywał nawet na przedstawieniach dla dzieci, i pewnego razu odwiedził wiedeński teatr marjonetek. W czasie przerwy zeszedł „za kulisy", chcąc „zbliska" rzecz zobaczyć, i tu natknął się na samego pana dyrektora, który zacząwszy „popijać" po obiedzie, teraz właśnie znów tęgo popijał. Pani dyrektorowa błagała męża, by już skończył, ale słodkie jej prośby wprost odwrotny spowodowały skutek, tak, że zanim się pauza skończyła, pan dyrektor był już całkiem „gotów". Pani była rozjuszona. Któż teraz „męskie role" zagra? Wzruszony poeta poprosił o „teksty", przejrzał je... i przedstawienie rozpoczęto. Wszystko poszło gładko. Körner tak umiejętnie wygrał głosem owe „męskie role", że rozbawiona młodzież urządziła mu ponoć długotrwałą owację.

⁂

Cenzura teatralna w Austrji była swego czasu niesłychanie surowa i śmieszna. Nadęta jej „moralność" wyczyniała istne dziwowiska, i narażała autorów dramatycznych i dyrektorów teatrów na wprost niebywałe, wyrafinowane kłopoty. Tak więc, wedle nakazów tej wszechmocnej cenzury, zakochana para nie mogła się na scenie znajdować sama. Zawsze się musiał „pętać" obok niej ktoś trzeci, choćby stara, wiecznie śpiąca ciotka, lub ślepy lokaj, lub głucha niańka. Ale nie koniec na tem. Zakochanej parze nie wolno było zejść ze sceny bez towarzystwa, aby przypadkiem publiczność nie pomyślała, iż poza sceną może rozegrać się dalszy ciąg miłosnej sceny. Tedy ten trzeci (lokaj, ciotka czy niańka) stale towarzyszył nieszczęsnym zakochanym. Oczywiście publiczność nie wiedziała, poco to wszystko, dyrektorzy klęli, autorzy gryźli wargi, a c. i k. bogobojna cenzura triumfowała. Dopiero energiczny Henryk Lanbe, dyrektor wiedeńskiego teatru dworskiego, położył kres tej cenzuralnej komedji.

⁂

Był pewien książę niemiecki, dziwak i oryginał, który stworzył jedyną w życiu operę, wystawił ją i odtad uważał się za wielkiego kompozytora. Że jednak oryginalna twórczość mu jakoś nie szła, przeto bawił się w różne „odtwórcze wyczyny" i grywał także w orkiestrze teatralnej, uważając się i w tej dziedzinie za mistrza. Jednak dyrygent orkiestry miał z księciem niemało kłopotu, i wreszcie pewnego razu na generalnej próbie nie wytrzymał i zawołał: „Wasza książęca mość wyprzedziłeś nas wszystkich! Niech książę raczy nieco poczekać!"

„Książę nie czeka nigdy!" — brzmiała dumna odpowiedź.

Wiktor Przecławski.



Piękna poza wykonana przez adeptkę szkoły tanecznej A. Paszkowskiej.

MAURICE DEKOBRA.

W krainie Maharadżów

¡Proszę! Oto pani tygrys!

Copyright by Agence Litteraire Internationale, Paris.

Istnieją takie polowania na tygrysy, które się źle kończą i których tragiczne przeżycia pozostawiają po sobie bolesne wspomnienia. Istnieją również takie, które naodwrót nie mają w sobie nic dramatycznego. Przypadek zdarzył, że byłem uczestnikiem polowania, w warunkach tak komicznych, jakie się nigdy w Indjach niezdarzają.

Będąc w gościnie u brata pewnego maharadży, ja, jeden major angielski i pewna młoda amerykanka, czuliśmy się bardzo dobrze, w naszym zgranym trio. Pewnego wieczoru, kiedy nasz sympatyczny gospodarz przyszedł do nas, by wypić wspólnie z nami filiżankę herbaty, Mrs. X... zagadnęła go z tym swoim subtelnym wdziękiem, który podnosił jeszcze bardziej, jej trochę zbyt pikantną piękność.

Bo naprawdę, Mrs X... była jedną z najroskoszniejszych turystek, jakie miałem sposobność spotkać pomiędzy Peshaverem i Kalkutą. Wydana zamąż w dwudziestym roku życia, rozwiedziona w dwudziestym pierwszym, miała dziwnie lekceważący sposób wyrażania się o bogach indyjskiego Olimpu, co nas pobudzało do bezustannych wybuchów śmiechu. Ganesh, według niej, był podobny do starego notarjusza o głowie słonia, a okrutna, Kali do baby - dragona, która kazała sobie wypalić nos; co do Kryszny, grającego na flecie, niczem Apollo, to nazwała go barytonem, wypędzonym z menażerji.

Poczęstowawszy młodego księcia papierosem oświadczyła mu przymilnie:

— Jak pan przypuszcza? Czy ja przyjechałam tutaj do was w celu zabijania moskitów? Pragnę teraz zapolować na tygrysa...

Major i ja, zauważyliśmy, że młody książe zdawał się być oczarowany pięknością Mrs. X... Rzeczywiście, zaambarasowany mocno, odparł z uśmiechem:

— Droga pani X..., nic nie może być dla mnie bardziej przyjemniejszego od spełniania pani życzeń. Pragnąłbym jednak zauważyć, że polowanie na tygrysa nie jest bynajmniej dziecięcą zabawą... Tam, trzeba być pewnym, każdego swojego strzału.

— Eh! siedząc na plecach słonia, nie ryzykuje się prawie niczem.

Książe w milczeniu zaprzeczył głową. Rozbrojony jednak spojrzeniem Mrs. X... odpowiedział:

— A więc, zgoda! Muszę się porozumieć, wobec tego z przywódcą *shikarisów*. w jakiej przypuszczalnie okolicy moglibyśmy spotkać zwierza. A następnie będę miał zaszczyt zaofiarować pani pierwszy strzał, przed zakończeniem obecnego sezonu.

*

Tegoż samego wieczoru, kiedy wyszliśmy ze swego bungalowu by wypalić ostatniego jeszcze papierosa, na świeżem powietrzu, książę zaczął się nam tłumaczyć ze swego zakłopotania:

— Mrs. X... jest cudowna. Ale sprawia mi przytem wiele kłopotu. Mieli chyba panowie sposobność zauważyć, jak ona strzelała do kaczek i antylop. Stale pudłowała. O ile nie umieszczę mitraljezy na słoniu, to niewiem, czy potrafi zabić krwiożercze zwierzę... A wiecie panowie o tem, że najbardziej niebezpiecznym jest tygrys wtedy, kiedy go się zrani.

— Pójdźmy więc poradzić się dowódcy *shikarisów*. Moze on znajdzie jakiś środek ratunku.

Dowódca *shikarisów*, doświadczony, stary oficer i leśniczy w jednej osobie, wysączał akurat swoją ostatnią wieczorną porcję *whisky*, kiedy wtargnęliśmy do ogrodu, otaczającego jego bungalow. Książe opowiedział mu o naszych troskach. Po chwili zastanowania leśniczy oświadczył:

— Uwazam, że znalazłem sposób, na danie każdemu pełni zadowolenia, redukując przytem ryzyko do minimum. Jeden tygrys, z ogrodu zoologicznego Jego Wysokości już niedługo pociągnie w swem więzieniu. Poproście Jego Wysokość, ażeby mi go oddał do mej dyspozycji, a resztę już ja sam załatwię.

— Co pan zrobi?

— O! to już mój sekret.

*

Zbliżył się wreszcie dzień wielkich łowów. O brzasku przybyły do nas samochody księcia, by nas zawieść w głąb dżungli.



U góry pałac królewski w Pabanie, u dołu dopływ Gangesu.

Skoro wyjechaliśmy na step, otoczeni przez naganiaczy na słoniach, poprzez wysokie trawy ujrzeliśmy sylwetki rozmaitych zwierząt, na widok których, każdy mający we krwi żyłkę myśliwską, odczuwa dreszcz niepokoju.

Mrs. X... z księciem byli z prawej strony, ja z majorem pośrodku, a dowódca *shikarisów* z lewej strony.

— Uwaga! wyszeptał książę, nachylając się do ucha swej towarzyszki. Niech się pani przygotuje do strzału...

Mrs. X... blada, sięgnęła po karabin, który był przytroczony w futerału, z tyłu. Jednocześnie major zwrócił moją uwagę na dziwne zachowanie się dowódcy *shikarisów*. Uniósłszy się nawpół w swojem *howdah*, zwieszając się nieomal do przodu, trzymał przy oczach lornetkę i mruczał jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— Co on wyrabia? Spytał się przestraszony major.

— Oh! Oh! wykrzyknął dowódca *shikarisów*. Bestja śpi jak zabita. — A później nachyliwszy się ku nam dodał ciszej. — Widocznie dałem mu zadużo opium. Leży tam, jak martwe ścierwo! To hańba! Jeżeli Mrs. X... spostrzeże się, posądzi księcia, że chciał z niej zakpić!

Należało coś szybko postanowić. Nie mogliśmy przecież stać dokoła zwierza, który napchawszy się swemi opiumowanemi pigułkami spał spokojnie. Trudno było czekać, aż się obudzi ze swych rozkosznych marzeń. Na całe szczęście, dowódca *shikarisów* był człowiekiem czynu. Odwrócił się do podążającego jego śladem służącego i rozkazał szybko:

— Zsiadaj natychmiast ze swojego słonia. Weź ze sobą tuzię. Skoro tylko usłyszysz wystrzał *Mrs. Sahib*, wpakujesz porcję ołowiu w pośladek temu zbydlęconemu tygrysowi. Ponieważ *Mrs. Sahib* napewno spudłuje, będzie się jej zdawało, skoro zwierz podskoczy do góry, że go trafiła a wtedy go napewno drugim strzałem wykończy.

Shikari posłuchał rozkazu. Ja i major, z trudnością panowaliśmy nad sobą, by nie ryknąć śmiechem, do tego stopnia sytuacja wydała się nam groteskowa. Zaledwie *shikaris* zdążył zeskoczyć na ziemię, kiedy dowódca *shikarisów* odezwał się do przewodnika swego słonia:

— Ze swojej strony, zmuś swoje bydlę do takiego ryku, zeby nikt tutaj z obecnych nie mógł zasnąć...

A następnie krzyknął głośno w kierunku słonia nr. 1:

— Pani!... Proszę strzelać!... Strzelać natychmiast!... Czy niewidzi pani przed sobą tygrysa, jak siedzi nieruchomo, po dopiero co spożytej uczcie?... Nie słyszy pani, jak mój słoń oszalał ze strachu? Naprzód!...

(Dokończenie na str. 16.)

BURZA NAD AZJĄ

Źle się dzieje w Indjach. Podczas gdy Gandhi omawia ze swoimi zwolennikami z kongresu narodowego nieodzowność i sposoby zastosowania w całym kraju oporu biernego przeciw rządowi brytyjskiemu wrzenia w kraju, których nici prowadzą do Moskwy, przybierają zdecydowaną formę rewolucji. Wypadki następują po sobie z nadzwyczajną szybkością. Pierwsze wystąpienia rozpoczęły się 26 ub. m., t. j. w dniu, który kongres narodowy ogłosił jako święto niepodległości. W Peszewarze, w Lahorze i w innych miastach Puudżabu tysiące Sikhów, tego elementu, z którego Anglicy rekrutowali najlepszych żołnierzy — defilowały po ulicach, wznosząc okrzyki rewolucyjne. W Delhi manifestacje przybrały groźne formy. Kalkuta była obwieszona flagami narodowemi, a przy wzniesieniu w Bombayu na wybrzeżu morskiem masztu z barwami Indji było obecnych nie mniej 200 000 osób — wśród których delegacje ze wszystkich części kraju. Znamiennym faktem jest coraz liczniejszy udział kobiet w tych manifestacjach.

Środki represji, które Anglicy stosowali do niedawna, aresztując prowodyrów ruchu niepodległościowego, zdają się być niedostateczne. Przy sposobności masowych rewizji i aresztowań, dokonanych w środowiskach studenckich i inteligencji, wykryto znaczne zapasy różnorodnej broni (włączając broń chemiczną) oraz — co najbardziej charakterystyczne — obfitą literaturę propagandową, przeznaczoną dla ludów azjatyckich.



Lord Irwin, wicekról Indyj, od którego taktu zależy los rządu brytyjskiego.

Podobny stan rzeczy doprowadzić może wcześniej czy później do masowych walk w całym kraju. Tak zwany „balradż", czyli potęga czynu (innemi słowy rewolucja — w odróżnieniu od „swaradżu", czyli oporu biernego) może zmusić Anglików do wycofania się z Indji.

Powstaje tu jednak inne zagadnienie — które nas właśnie, fanatycznych niepodległościowców, może naprowadzić na smutne refleksje i upoważnia do powiedzenia, że źle się dzieje w Indjach. Bo oto, jak wiadomo, Hindusi bynajmniej nie stanowią zwartej masy o jednolitym stopniu kultury i o jednakich aspiracjach. Przeciwieństwa religijne, kastowe i socjalne, obok których rozwijają się antagonizmy poszczególnych maharadżów — wszystko to bynajmniej nie sprzyja normalnemu rozwinięciu się wypadków i ustaleniu niepodległości. Najwięksi wrogowie pokoju, rosyjscy bolszewicy, z upragnieniem czyhają na nadarzającą się sposobność wyparcia Anglików z Azji. Świadczą o tem kontakty, które stale wyczuwane są przez rząd brytyjski.

Źle się dzieje, coraz gorzej... A tymczasem najbardziej strzeżonym człowiekiem jest wicekról, lord Irwin, który udając się do Barody, polecił ściągnąć dla ochrony linji kolejowej na dystansie Bombay — Baroda (500 km.) nie mniej 42 000 żołnierzy!

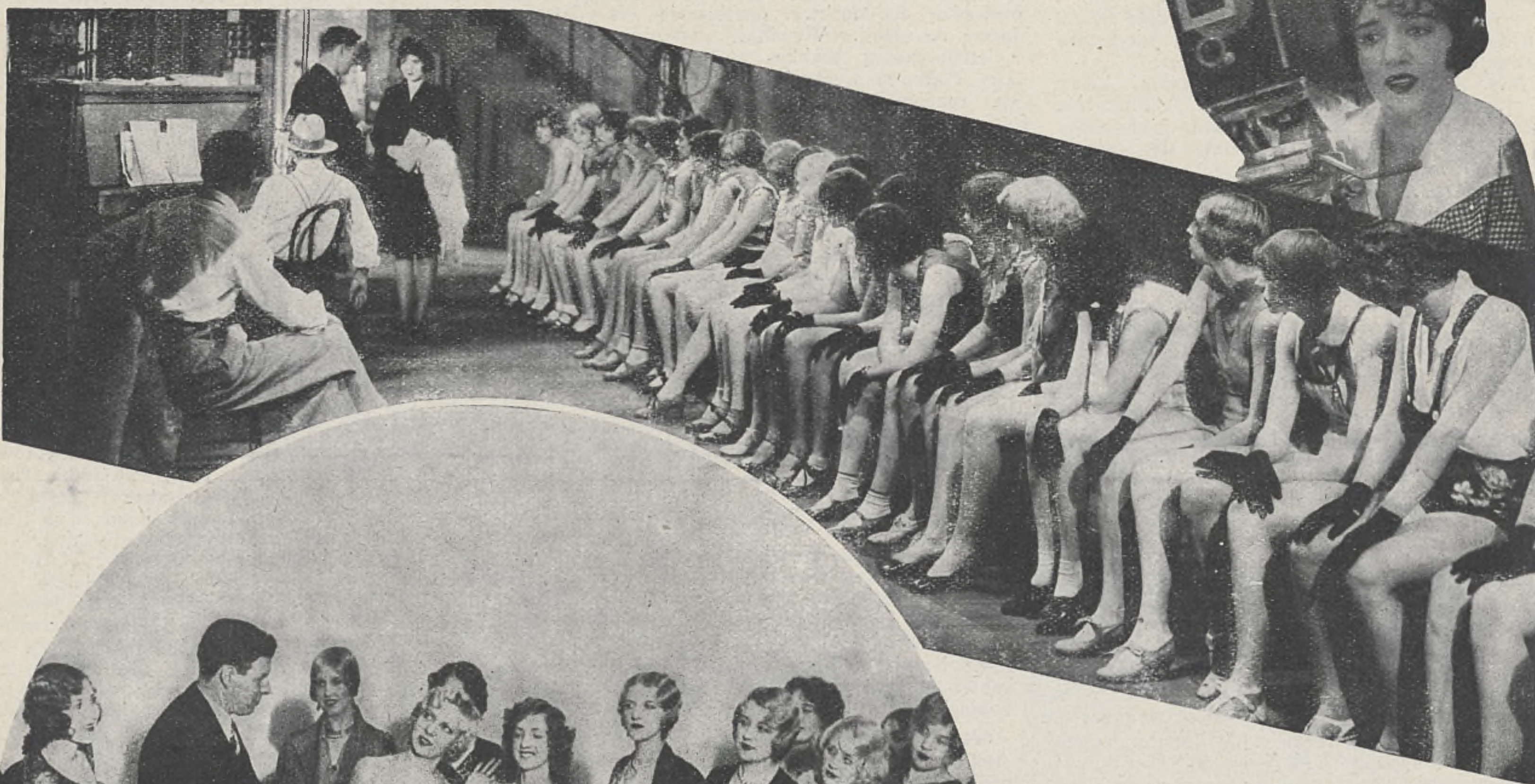
Sprawę tę oświetlaliśmy dość obszernie w roku ubiegłym z okazji wyświetlania filmu, zdradzającego zakusy Sowietów — pamiętną „Burzę nad Azją". Od tego czasu wypadki potoczyły się nieomal z lawinową szybkością: w Chinach, Afganistanie, Indjach, Indochinach, wszędzie, gdzie tylko wybuchły niepokoje (o podkładzie — notabene — nacjonalistycznym), znać wpływy Sowietów, realizację wymarzonej Eurazji.

I dlatego właśnie tak dalekie Indje mogą nas niepokoić...

Er.

GÓRĄ GIRLSY!

(ilustracje ze studjo Metro Goldwyn Mayer i Paramount.)





Gdy dawne girlsy stanęły przed mikrofonem okazało się, że zasób ich fachowego wykształcenia jest niedostateczny. Poczęto wobec tego werbować nowe zastępy z music-hallów na Broadway'u. Tysiące dziewcząt emigrowało do Hollywoodu.



Górą Girlsy! Oczywiście — że w Stanach Zjednoczonych, a nie w starej Europie, gdzie, po polsku mówiąc, girlas, — w Paryżu, czy w Londynie, we Wiedniu, Berlinie, no, a tembardziej w Warszawie, jest artystką — nie gniewajcie się, dziewczątka — minorum gentium, stworzonkiem zabiedzonem, wymęczonem ciągłemi próbami, przedstawieniami — no i... życiem nocnem. A za wszystko to — zdrowie, młodość, humor, za wszystko, czem się cieszymy z widowni i w miłem towarzystwie (mowa tu rzecz

Nowe girlsy dźwiękowe, tak zwane „chorus girls" muszą nietylko wykazać się idealnemi warunkami fizycznemi, znajomością tańca i akrobatyki, ale też powinny władać obcemi językami, a przedewszystkiem czystym angielskim językiem, który wobec okazywanego we wszystkich krajach krytycyzmu dla amerykańskiej gwary jest warunkiem nieodzownym przy engagement.



prosta, tylko o kawalerach!) nasze girlasiątka otrzymują nader mizerne uposażenie.

Nie inaczej było i w Stanach Zjednoczonvch. Bo chociaż za miejsce w music hallu płaci się kilka dolarów, girlsy bynajmniej nie otrzymywały gaży w podobnym stosunku.

Dziś jednak wszystko się zmieniło. Z Broodwayu emgirowało do słonecznego Hollywoodu kilka tysięcy girlsów w związku z radykalną przemianą, jaka nastąpiła w świecie produkcji filmowej — powstania ery dźwiękowców, których tematy, jak zdołaliśmy stwierdzić, dotyczą w 75 proc. music-hallu.

Girlsy, nikłe gwiazdki na firmamencie sztuki, wyparły niejedną gwiazdę niemego filmu, które, podobnie jak w astronomji, zostały skazane na wygaśnięcie.

I życie samo w Hollywoodzie uległo pod wpływem girlsów radykalnej zmianie.

Boć proszę sobie wyobrazić najście kilku tvsięcy dziewcząteк, którym fortuna tak nagle raczyła się uśmiechnąć, do Hollywoodu, gdzie newne tradycje zdołały się zakorzenić...

Z niewyczerpanym humorem czerpią dziewczątka wszystko, co im życie daje. A więc — przedewszystkiem o wiele większe zarobki przy mniejszym wysiłku pracy; zamiast dusznej atmosfery wielkiego miasta — skarby świeżego powietrza i słońca, swobody i komfortu.

To też używają, jak mogą! Wiele z nich posiada już własne samochody, któremi wystraszają przechodniów i zamęczają policjantów. Wszyscy (włączając policjantów) ulegli ich czarowi i kaprysom — nawet temu, że w stroju roboczym, t. j. poprostu w majteczkach i trykotach, lubią chadzać po mieście — a gdy wesoły tabun rozhukanych dziewcząteк wtargnie do restauracji na lunch a la fourchette — nikt już nie zrzędzi, że w ogłuszającej atmosferze beztroskiej paplaniny musi spożywać potrawy, których służba nie nadąży roznosić.



Próby z nowemi girlsami trwają nieraz całe miesiące i chórzystki muszą nie mało się napracować, aby osiągnąć stałe zajęcie i gażę, wynoszącą minimalnie 75 dolarów tygodniowo.

Warunki pracy w Hollywoodzie są o tyle przyjemniejsze od tych, do których dziewczęta zwane „chorus girlsami", musiały przywyknąć w wielkich miastach, że na każdym niemal kroku manifestują swoją radość z powodu zmiany środowiska. Na fotografji widzimy zastęp girlsów odjeżdżających po skończonej pracy w studio do domów.





ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI.

COCKTAIL PARTY



Wóda stała za oknem, zagrycha na stole. Pierwszorzędna. Kilo kiełbasy, serdelki, salceson, ogórki kwaszone. Kajzerek cała góra. Mroczek wykosztował się na szproty. Zośka ostatnia przyleciała, trochę zdyszana, w Lindbergu na bakier.

— Ojej, jakie tu smaki!

Prędko zdjęła futerko — nowiutkie krety! — w swetrze zielonym została. Zaczęła rozwijać dużą paczkę.

— Ja tu jeszcze schabu przyniesłam...

Wicek - Warjat, co go tydzień temu wypuścili z Mokotowa na urlop kuracyjny, gwizdnął tylko przeciągle.

— Fiu-fiuu... Jakie szyki!

Silnie splunął — Zośce pod nogi — i wziął za klamkę. Ale go Feluś zatrzymał.

— Dokąd?

— Po piwo. Damy, widzę, pirwsza klasa — a zapomnielim o piwie. Taka w kretach cię potem w gazetach opisze...

— Nie bądź głupi. Daj forsę, sam skoczę.

— Bo co?

— Hinty za tobą łażą. Jeszcze nam tu gości sprowadzisz.

Wicek zastanowił się sekundę.

— Może i racja.

Wyjął z kieszonki papierek, podał go niedbale Felkowi. Ten się zdziwił.

— Za wszystkie?

— Wiadomo, tuzia.

— Oho...

Felek się w mig uwinął. Cały tuzin Haberbuscha przydygował: cztery pod prawą pachą, cztery pod lewą, cztery tak. Zośka go pochwaliła:

— Zuch!

Tylko mruknął wesoło.

— To się wi.

Tamci tymczasem, pod ścianą, palili w milczeniu, czekając na rozpoczęcie wstawy.

Trzech ich było. Długi Antek, Hiszpan i Cwajnos. Wicek podszedł do nich, usiadł okrakiem na krześle, wyjął papierosa, przypalił, zaciągnął się, splunął.

— Za mało kobiet — powiedział.

Hiszpan spojrzał mu pytająco w oczy.

— Wiem dwie. Mieszkają na Freta. Przyprowadzić?

— Przyprowadź.

— Iii.. — odezwała się od stołu Zośka, bardzo obrażona. — Jeżeli tu będziecie panowie ściągali z ulicy różne...

Wicek obrócił się do niej z krzesłem. Ucichła.

— Więc jakże będzie? — spytał się Hiszpan, trochę niezdecydowany.

— Powiedziałem, przyprowadź! Co jest, do cholery?

— Nie denerwuj się, Wicuś, idę po te sikorki.

— Idź.

Trochę towarzystwo przycichło, bo się wszyscy Wicka bali. Zawsze był warjat. Nikt nigdy nie wiedział, czy mu co do głowy nie strzeli... Ot, chociażby ostatnim razem: wszystko obrobili, jak potrzeba, branzoletki, pierścionki, zegarki (w tem 10 dużych, złotych!) już mieli w walizce — a tu nagle Wicek, że się ten żydek-zegarmistrz troszkę na podłodze ruszył i, związany, zaczął skuczyć... raptem go bez żadnej potrzeby... ziuch!... w bebechy. Z ładnej, czystej roboty zrobiła się mokra... A potem, naturalnie, wielki hałas, śledztwa, aresz-ty, sprawy... no, i Mokotów. Szczęście jeszcze, że się ten parch wylizał. Inaczej mogłaby i Giemza być. Doskonale podchodziło pod Doraźniaka. Adwokat mówił, że Wicek powinien był tego żydka w rękę pocałować, za to, że wyzdrowiał... Ładnyby urlop zdrowotny miał! Chyba z Bródna?

*

Hiszpan nie cyganił. Tamte dwie facetki rzeczywiście na jednej nodze sprowadził. Starsza była nieciekawa: dziobata jakaś, i schrypnięta. Za to druga, młodsza — malina. Ledwo weszła do pokoju, ledwo powiedziała „Dobrywieczór"! — zaraz się wszystkim zrobiło jaśniej i weselej. Mroczkowa, która chyba wszystkie dziewczyny w Warszawie znała, tej widać nie znała. Podeszła do niej, obejrzała dokładnie i aż cmoknęła z zadowolenia.

— Żałuj, Hiszpan, żeś mi takiej dwadzieścia lat temu nie przyprowadził...

— No, bo co?

— Miałbyś miesiąc spokojnego życia.

— No... zaczynamy?

— Zaczynamy! — zakomenderował Wicek. — Niech tylko pani Mroczkowa trochę lampę podkręci, bo tu ciemno, jak...

Mroczkowa rozjaśniła lampę, zaczęli się sadowić dookoła stołu. Z brzegu Mroczkowa, potem Zośka, przy Zośce Feluś; Długi Antek, Hiszpan i Cwajnos, co siedzieli od ściany, na łóżku, chcieli między siebie tę młodą pannę brać; ale ich Wicek rugnął; więc siadła do nich posłusznie Dziobata — a Wicek posadził przy sobie młodą.

Na to wszystko patrzała Zośka, nie mówiąc nic. Raz tylko strzeliła w Wicka złem okiem, ale nie puściła pary z gęby. Spuściła oczy i bawiła się serwetką.

Przepili do siebie raz, przepili drugi. Kompanja była duża, kieliszki odpowiedzialne, zaraz się pierwsza butelka skończyła.

— Drugą dawać! — rozkazał Wicek. — Mogę dziś pić!

Znowu przepili, raz i drugi, kolejką. Wzięli się do zakąsek. I jeszcze raz wypili. Skończyła się druga butelka.

— Trzecia lu! — rozochocił się Wicek. — Wuju, nalewaj!

Mroczek sięgnął po trzecią...

Zrobiło się gwarnie. Wszyscy zaczęli naraz gadać, jeden przez drugiego. Najwięcej ta Dziobata, niezła, zdaje się, dziewczyna, ale głupia.

— Czego się pani drzesz, jak stara suknia? — zeźlił się nagle Wicek. — Feluś! Daj jej pić, niech się uspokoi!

— Już się robi! — fyrtnął się pajacowato Feluś. — Rrrrozkaz, Naczelniku!

Dostał czwartą flaszkę, wybił z niej korek, chlusnął damie do piwa dobre pół szklanki.

— Kruszon zimowy. Pij pani. Siup!

— Kiedy... Kiedy się wstawię...

— Nic pani nie będzie, aż do samej śmierci. Chaim!

— Siulim!

Zośka trąciła Felka w bok. Powiedziała półgłosem:

— A ja... to pies?

Feluś nachylił się do jej ucha.

— Cicho... Cicho, panno Zosiu... Najpierw muszą Wickowi dogodzić... Jego dziś święto... Ta kikimora go denerwuje, widzi pani... Jak się urżnie, uśnie.

— Czego go pan tak słucha?

— Wicka?

— No! — Zośka zmrużyła niebieskie oczy: — Czy pan jest lokaj jego?

— Tsss... — mitygował ją Felek. — Nie tak głośno!

— Bo co?

— Bo jakby Wicek usłyszał...

— Jak wy się go wszyscy boicie!

— Boimy nie boimy, ale go uważamy.

— Cóż on takiego ważnego? Że w Mokotowie 4 lata odsiaduje? Każdy z was już siedział!

— Nie o to rzecz chodzi.

— A o co?

— U niego łatwo... za majcherek. Pani sama wi.

— Wiem. A pan co: z masła?



— Gadanie. Nie z masła. Ale poco towarzystwo zasmucać?

— Tchórz pan jesteś. Ot, co!

— A pani, widzi mi się, o tamtą nową panienkę zazdrosna.

— O którą? O tę lafiryndę, co siedzi przy Wicku?

— No.

— W pięcie ją mam. Wiesz pan?

— To się tak mówi...

— Nie wierzysz pan?

— Niezupełnie.

Wicek tymczasem zupełnie tej szeptanej rozmowy nie słuchał, albo przynajmniej udawał, że nie słucha. Przyciskał mocno do boku toczone ramię swojej towarzyszki, dolewał jej ustawicznie — i sam pił naumór. Zośka zdołała pochwycić tylko jedno Wickowe spojrzenie: ostre, jak nóż. Zaraz potem głowę odwrócił i udał, że na nią zupełnie nie zważa. Zaczął głośną rozmowę ze swoją sąsiadką.

— Jak ci na imię?

— Janina.

— Janka! — Morowe imię. — Kontrolna jesteś?

— Tak. Bo co?

— Dawno się puszczasz?

— Nie wszystko panu jedno?

— Nie.

— Pięć lat.

— A ile teraz masz lat?

— Dwadzieścia jeden.

— No-no... Wcześnie zaczęłaś!

— A wcześnie!

— Z głupoty, czy dla zarobku?

— Cóż to za spowiedź?

— Zaraz. — Odpowiedz!

— Wiadomo, że dla zarobku. Któraby fabryczna, mając szesnaście lat, taka głupia się uchowała? Do tego w Warszawie?

— To ty do fabryki chodziłaś? Do jakiej?

— Do garbarni.

— Świńska robota.

— Wiadomo. Właśnie przez to.

— I cóż: teraz ci lepiej?

— Lepiej-nie-lepiej, ale i nie gorzej. Fach wolny, gości dość... Byle humor był!

— Podobasz mi się.

— I pan mi się podoba.

— Tak?

— Tak.

— To mnie cieszy.

— Ale tej pani — o, co z tamtym biondynem siedzi — wcale to nie cieszy, że się sobie podobamy.

— Zdaje ci się.

— Już ja wiem, co mówię!

— Gwiżdż na nią.

— Co to za jedna?

— Swołocz.

— Fe... Jak można tak brzydko... o kobiecie?

— To moja dawna kochanka, jeżeli chcesz wiedzieć. Zośka się nazywa. Jak mnie do więzienia wzięli, zaraz się z innym zwąchała. Futro jej kupił. Taaak...

Od dłuższej chwili przy stole panowała już cisza i rozmowa Wicka z Janką rozlegała się donośnie. Wszyscy, prócz Zośki, mieli oczy wbite w talerze. Zośka siedziała blada, ale zupełnie spokojna.

Wicek ciężko wstał i mówił dalej, jakby w zamyśleniu:

— Żebym to ja wiedział, co to za miglanc był, który jej te krety zafundował... — (wziął głęboki oddech) — Pokrajałbym go na drobne paski... Taksamo, jak, widzicie, teraz sobie idę spokojnie... (zrobił parę kroków w stronę drzwi, na których wisiało nowe futro Zośki) — I k r a j ę t a k... futro!

Gdyby do pokoju rzucono bombę, efekt nie byłby silniejszy. Ale nikt się nie ruszył z miejsca. Zośka tylko drgnęła, ale, złapana przez Felusia pod stołem za rękę, przywarowała... zastygła.

Dokończenie na str. 16).



W dniu 22 ub. m. delegacja kawalerów maltańskich, w składzie p.p.: hr. Hutten-Czapskiego, Olgierda ks. Czartoryskiego, Edw. hr. Mycielskiego, adm. Zwierkowskiego, St. hr. Brezy, Konst. hr. Bnińskiego, płk. Beliny Prażmowskiego i Stan. Taczanowskiego, wręczyła Panu Prezydentowi Mościckiemu i Panu Marszałkowi Piłsudskiemu Wielkie Wstęgi Krzyża Maltańskiego.



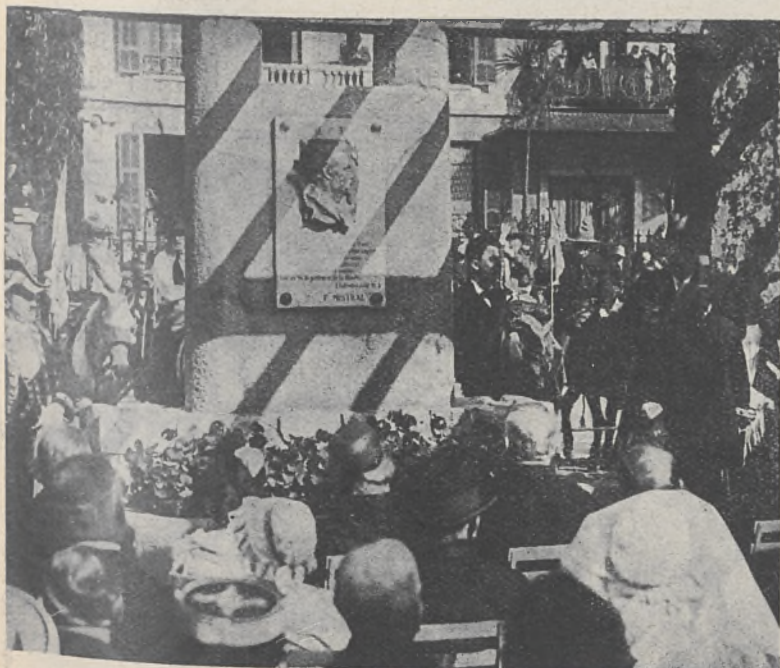
W ub. tygodniu obchodzono w Ministerstwie Komunikacji niezwykły jubileusz 5ɔ-letniej pracy na polu kolejnictwa dyrektora departamentu inż. Bolesława Skupiewskiego.



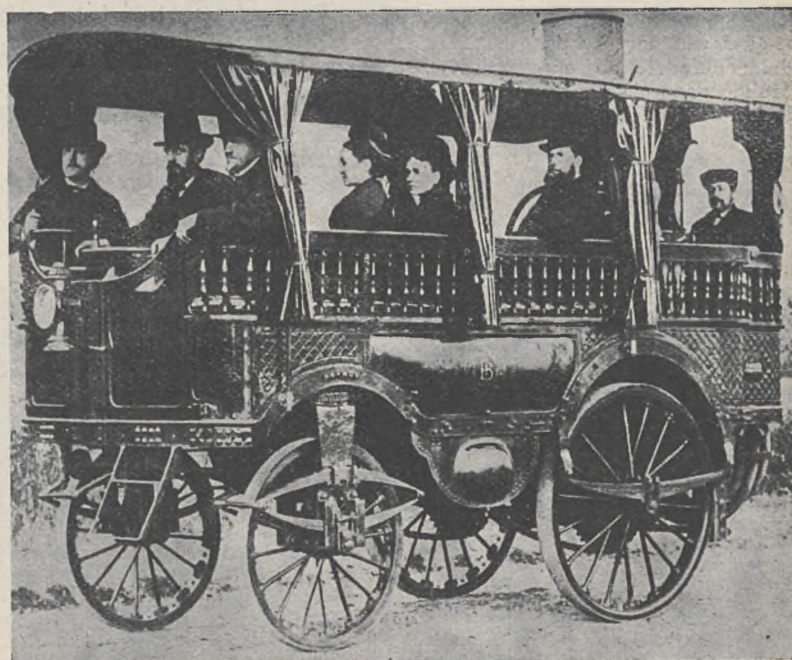
Pomimo pozornego utrwalenia się władzy nowego premjera hiszpańskiego, gen. Berenguera i popularności, jaką się cieszy król Alfons XIII, ludność w całym kraju odbywa niemal codziennie manifestacje — jedni pro, drudzy contra, jak to zwykle bywa, tem jednak burzliwsze, że Hiszpanie obdarzeni są bujnym temperamentem.



W dalszym ciągu zmian, które nastąpiły w Hiszpanji w związku z ustąpieniem Primo de Rivery, książę Alby objął tekę ministra spraw zagranicznych.



Wśród wielu jubileuszów, które będą obchodzone na świecie w roku bieżącym, Francja, a zwłaszcza południowe jej prowincje, odda hołd pamięci i zasługom urodzonego przed stu laty († r. 1914) poety Fryderyka Mistrala. Fotografja nasza przedstawia uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci mistrza w Nicei.



Pierwszy samochód na świecie, zw. „l'Obeissante" (posłuszna), zbudowany w r. 1873 przez konstruktora francuskiego Amedeusza Bollée, zostanie wystawiony na pokaz publiczny w muzeum w Le Mans. Ilustracja nasza jest reprodukcją ze współczesnej ryciny, która wywołała na całym świecie niezwykłą sensację.

CO SŁYCHAĆ NA ŚWIECIE



Plotki z Hollywoodu... Piękna gwiazda filmowa Miss Constance Bennett, jest pono przyczyną nieporozumienia pomiędzy Glorją Swanson a jej małżonkiem, Markizem de la Falaise du Coudraye.



Najmłodszym ministrem amerykańskim jest Patrick J. Hurley (47 lat), który objął w tych dniach tekę spraw wojskowych.



Poseł Kamil Chautemps, który objął po André Tardieu stanowisko premjera, wygłasza w b. tygodniu deklarację przed Izbą.



Pierwszym prawnikiem francuskim, który bronił sprawy na gruncie Sowietów, jest p. Zuzanna Blum. W tych dniach ukażą się jej wspomnienia.



Sąd amerykański z całą bezwzględnością skazał bohatera lotu transatlantyckiego Berta Acosta (lot z adm. Byrdem) na 6 miesięcy więzienia za porzucenie żony i dwojga dzieci.

Wśród kilku kwestyj, któremi interesują się w obecnej chwili sfery polityczne, najbardziej aktualną bez wątpienia, jest sprawa kryzysu gabinetowego we Francji. Charakterystycznem jest, że o ile szybko zostało zakończone przesilenie — a można to, notabene, uznać za dowód, że fiasco chorego Tardieu było przewidziane — o tyle zdaje się pewnem, że obecny rząd Chautemps będzie również krótkotrwały. (W chwili, gdy słowa te oddajemy do druku, walka w Palais Bourbon rozpoczyna się na dobre i artylerją, przygotowana przez opozycję, zasypuje gradem pocisków nowego premjera).

I tem może należy sobie tłumaczyć enigmatyczny uśmiech Brianda (patrz fotografja poniżej), o którym kursuje zabawne powiedzenie, że ten przynajmniej nie wątpił, że przy każdej kombinacji politycznej zostanie ministrem spraw zagranicznych. Briand śmieje się, gdyż wie, iż stronnictwo radykalno - socjalistyczne wcześniej czy później musi dojść do władzy — choćby na krótko — i kombinacja poprzednia Daladiera byłaby może doszła do skutku, gdyby nie to, że jemu, Briandowi, chodziło o doprowadzenie bez przeszkód planu Younga oraz ewakuacji Nadrenji. Śmieje się, stary wyga, gdyż wie, że przy poprzednim układzie sił musiał szukać poparcia dla rozwinięcia swych planów pokojowych, podczas gdy teraz żądać od niego będą przyśpieszenia akcji.

Na tej samej fotografji widzimy Cherona, który pęka ze śmiechu, gdyż i on wie doskonale, że jeśli siedząc na setkach miljonów, skupionych mrówczą pracą, nie mógł sobie pozwolić na żadne ulgi podatkowe, to następcy jego, po lekkomyślnem roztrwonieniu na cele demagogiczne zasobów skarbowych, będą musieli uciec się do starego sposobu — śruby podatkowej. I Cheron śmieje się — gdyż stał się fakt niesłychany, zwłaszcza w dzisiejszych czasach trudności finansowych, że gabinet upada mimo świetnych wyników swej gospodarki skarbowej, ustępując miejsca ludziom, o których zgóry wiadomo, że przy nich właśnie stopnieją rezerwy, stanowiące bądź co bądź—a zwłaszcza w oczach praktycznego narodu francuskiego — poważną siłę. Paradoks... Śmieszny, gdyż zgóry wiadomo, że chociażby z tych względów rząd Chautemps'a należy uważać za efemerydę, a radość jego zwolenników, którzy, nawiasem mówiąc, trwożnie oglądają się na siebie, lada chwila oczekując energicznego „kopniaka" od Bluma — za przedwczesną.

Zresztą, co tu mówić, w chwili, gdy piszemy te słowa — Chautemps już może jest ostatecznie pogrążony...

*

Niemcy na razie zajęte są inną sprawą —komentowaniem wizyty Schobera, którego w Berlinie przywitano owacyjnie, jako zwiastuna „Anschlussu" i odnowiciela przedwojennych kombinacyj politycznych Ballplatzu. „Kochanym przyjacielem" nie darmo go nazwał kanclerz Mueller podczas oficjalnego przemówienia, „kochanym przyjacielem", i tem cenniejszym, że Niemcy lada dzień będą musiały powziąć poważne decyzje (?). W takiej chwili przyjemnie jest wiedzieć, że Austrja docenia powagę sytuacji i solidaryzuje się z państwem, które zawsze do niej odnosiło się jak do najwierniejszego sprzymierzeńca.



Członkowie gabinetu Tardieu, z Briandem i Chéronem na czele, sfotografowani po odbyciu ostatniego posiedzenia.



Córka dyktatora italskiego, p. Edda Mussolini zaręczyła się z synem ministra komunikacji, p. Galleazo Ciami. Przyjęcie okolicznościowe zostało wydane w Villa Tortonia.



Dyplomata amerykański A. P. Moore, który był desygnowany na pierwszego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce, zmarł w Los Angelos. Pan minister A. Zaleski wysłał telegram kondolencyjny.



Kanadyjski uczony, prof. Howard, wynalazł produkt chemiczny, przy pomocy którego można roztapiać lód. Wynalazek ten posiada doniosłe znaczenie dla portów.

Karnawał się kończy...

Lala Bywalska, moja serdeczna przyjaciółka, jest osobą ogromnie światową. Spotykaliśmy się, niestety, bardzo rzadko, gdyż Lala ma zawsze na głowie trzy posiedzenia, osiem wizyt, dwie premjery i cztery bale do odbycia i to wszystko o tej samej porze, więc jest ogromnie trudno uchwytna.

Mimo to, że widujemy się tak mało, lubimy się bardzo. Mąż Lali twierdzi, że właśnie dla tego. Panowie są złośliwi.

W każdym razie ucieszyłam się ogromnie, zastając Lalę samą przy stoliku w Europejskim. Szczęśliwy traf: siedzące miejsce i możność pogawędzenia z dawno niewidzianą przyjaciółką.

— Musisz się martwić, że karnawał się kończy!

— Ja, — zawołała Lala oburzona, — żeby to ode mnie zależało, zniosłabym idjotyczny zwyczaj karnawałowania po wieczne czasy.

Zdziwiłam się niezmiernie.

— Jakto? Przecież zawsze tak lubiłaś się bawić?...

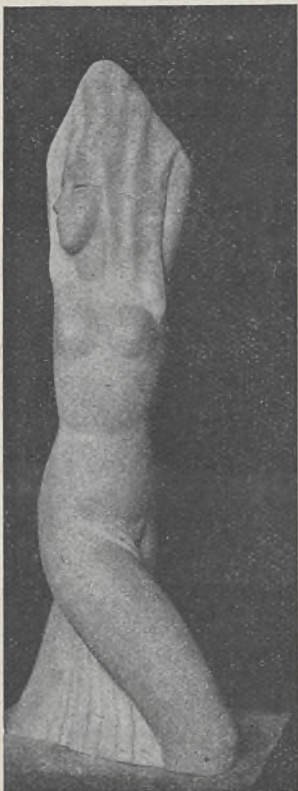
— Właśnie, — odparła Lala, — ogromnie lubię się bawić i dlatego nieznoszę karnawału. Bo i znajdź tu, proszę, sposób bawienia się, kiedy masz na dobę trzy publiczne bale, których jesteś gospodynią, pięć dobroczynnych dancingów, dziesięć zaproszeń do domów prywatnych... wszyscy się obrażają, niepodobna umówić się ze znajomymi... Et... — zamieszała czarną kawę ruchem, pełnym zniechęcenia.

— Więc ostatecznie jak robisz?

— Rozmaicie. Naprzykład pierwszego był „Bal Polskich Jedwabi", cel sympatyczny, należę do komitetu... i tu tego samego wieczoru Bal Szwoleżerów. Mam kuzyna szwoleżera. Pojechałabym i tu i tam, ale na Balu Jedwabi obowiązywał jedwab krajowy, a bałam się, że taki krajowy wyrób może od biedy wytrzymać jeden bal, ale dwa to już w żadnym razie. Zresztą trapiło mnie to, że nie wiedziałam, gdzie będzie On.

— Jaki On?

— No, mój tegoroczny flirt. Ostatecznie tak się zezłościłam, że wyprawiłam siostrzenicę w krajowej tafcie na Bal Polskich Jedwabi z pewną, bardzo uspołecznioną matroną, a sama poszłam z rozpaczy do kina, bo już odwykłam wieczorem bywać w domu. No i wyobraź sobie, tu Go spotkałam.



Na obecnej wystawie Tow. Krzewienia Sztuk Pięknych na szczególną uwagę zasługują rzeźby pani Polin-Lindenfeld. Jej „Tancerka" to zjawisko pełne harmonji i melodji. Dziwne w niej zespolenie gotyku z egzotycznością Egiptu. Pod maską surowości tchnie rzeźba łagodnością i wdziękiem, zespalając mistycznie ciało ludzkie z duchem. Wąska, długa, prawie niematerjalna twarz o oczach wschodnich, ma w sobie coś niepokojącego i mistycznego z bożków wschodnich. Rzeźba ta była wyróżniona na ostatniej wystawie w Salonie Jesiennym w Paryżu. Prace p. Polin-Lindenfeld tchną prostotą, świeżością oraz oryginalnością kompozycji.

L. G.

— Miałaś szczęście.

— Akurat, był w towarzystwie dwóch dam, blondynka i brunetka — do wyboru. Byłam wściekła i jeszcze mąż śmiał się ze mnie.

— Jakto, to ty mu opowiadasz!...

— Oczywiście, nic nie jest w stanie wytrącić go z równowagi. Twierdzi, że tempo życia towarzyskiego w Warszawie jest zbyt szybkie, żeby kobieta światowa mogła znaleźć czas na nawiązanie romansu. Obawiam się, że ma rację.

— Ale przecież nie wszystkie wieczory spędzasz z rozpaczy w kinie?

— Ach nie, to wyjątkowo. Przeważnie tańczę, czasem nawet solo. Na balu „Latarni" byłam perłą w tańcu klejnotów. Z początku chciałam być brylantem, ale Tuś (to właśnie mój flirt) wytłumaczył mi, że o wiele pochlebniej jest być perłą. Nie masz pojęcia, ile czasu i fatygi pochłania opracowanie takiego tańca.

— A był przynajmniej dochód?

— Ooowszem.

— Więc ciężkie czasy nie odbijają się na frekwencji?

— Nie, raczej na bufetach. Na Św. Wincentego a Paulo był także tłok nie do opisania, a nazajutrz telefonuje Św. Wincenty do „Dzieci Maryi", czyby nie wzięły rozbefu i szynki, bo moc tego zostało.

— No i?...

— Nie wzięły, bo urządzały zabawę w piątek, więc bufet był postny, przytem cały ofiarowany, więc się opłacił. Co zostało, zjadły „Dzieci Maryi", to znaczy sierotki z ochronek.

— Masz zdrowie tak wszędzie bywać... Jak sobie dajesz radę z toaletami?

— Wobec ciężkich czasów sprawiłam sobie tylko dwie suknie: czarną na dancingi i białą na bale. Ponieważ jednak często musiałam bywać w kilku miejscach jednego wieczoru, więc bywałam na dancingach — na biało i balach — na czarno. Chciałam być bardzo praktyczną i do czarnej sukni sprawiłam sobie bolero z rękawami, tak, że służyła mi do teatru

(Dalszy ciąg na str. 14-ej).

KUKIEŁKOWY KONGRES



Bohater dyr. Skupy z teatrzyku w Pilźnie t. zw. Speybl.



Dyrektor teatrzyku w Pilźnie, p. Skupa operuje sznurkami, u których zawieszone są kukiełki.

Wśród szeregu konferencyj, zjazdów i kongresów, jakie ustawicznie zwoływane są na całym świecie, najmniejszym może rozgłosem cieszył się skromny „kongresik"... kukiełek, który się odbył niedawno w Paryżu.

A zjazd był przecie. nader liczny i zawierał reprezentacje kilku narodów. Oto ściągnęły kukiełki z teatru Ivo Puhonny z Baden-Baden, marjonetki z Lièges, Kunster - Marionetten Theater ze Sztutgartu, z Pilzna, laleczki z Théatre Mourguet z Lyonu i wiele, wiele innych.

Przewodnictwo nad obradami objął senator — a jakże — Justyn Godard. Największą wszakże atrakcją tego konkresu były codzienne przedstawienia i referaty, wyjaśniające w sposób nader pouczający charakterystykę każdego z poszczególnych teatrzyków.

Okazuje się tedy, że najprostszemi kukiełkami są bez wątpienia te, które występują w t. zw. Starym Teatrze w Liège. Zawieszone na belce nie są związane sznurkami — co wpływa ujemnie na rozmaitość i celowość ich ruchów. Ciekawą ich cechą jest zachowanie proporcji we wzroście, zależnie od tego, jak ważnego mają przedstawiać bohatera — świętego, czy króla Karola Wielkiego, rycerzy lub dworzan, czy wreszcie ludzi z gminu. Treścią przedstawień Starego Teatru są średniowieczne misterja.



Największym zbieraczem kukiełek jest francuski poeta i autor dramatyczny, p. Cony. Na ścianie fresk słynnego w XIX stuleciu Lemercier de Neuville.



Marjonetki ze słynnego we Francji teatrzyku — Guignola z Lyonu.



...leży żałować, iż nie zaprezentowaliśmy na kongresie naszych polskich kukiełek z szopek ludowych i politycznych. Kukiełka z tegorocznej szopki „Cyrulika Warszawskiego".



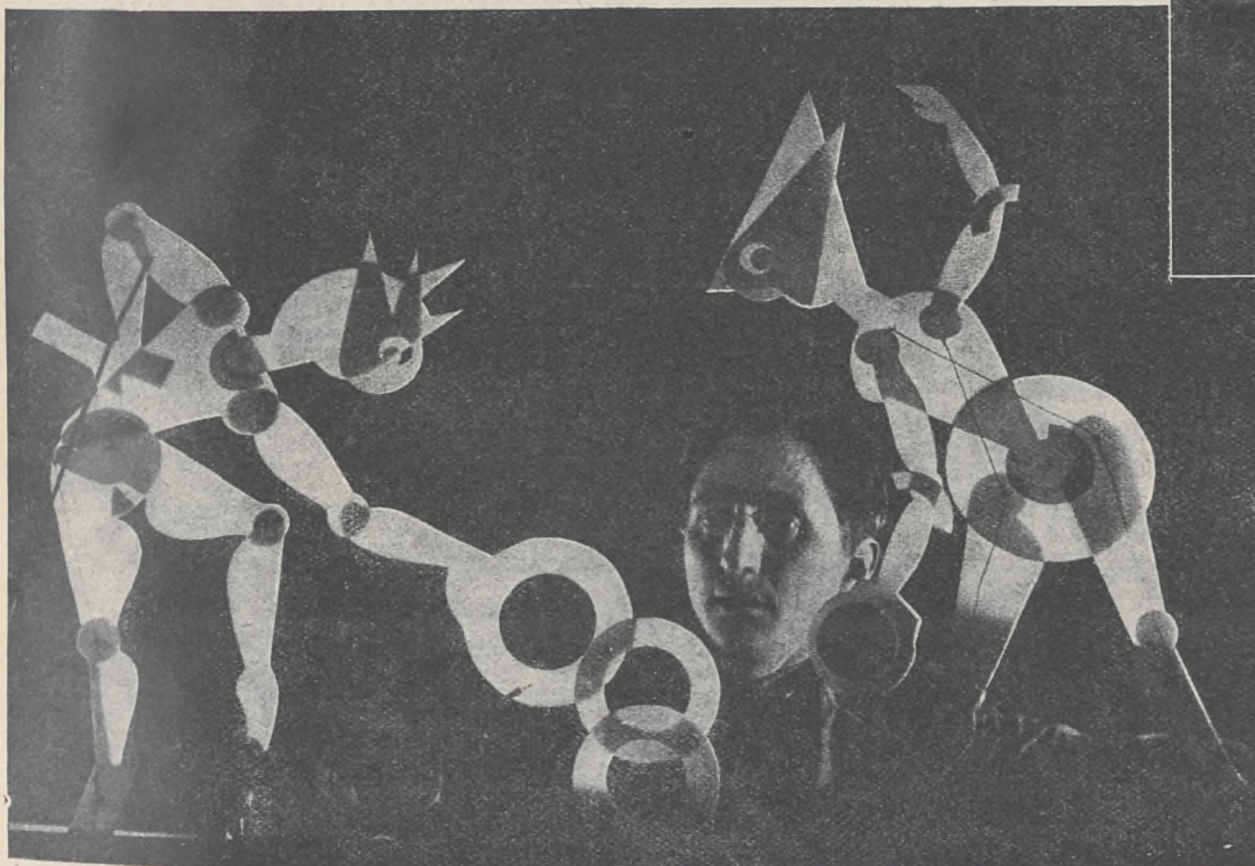
Marjonetki ze Starego Teatru w Liège, biorące udział w przedstawieniach pasyjnych i w średniowiecznych misterjach.

Niemieckie marjonetki — demonstrowano przedstawienie Fausta — są bardziej udoskonalone, bardziej zwinne i obracają się na tle dekoracyj nader urozmaiconych. Mistrz kukiełkowy ze Sztutgartu, dyr. M. Deininger zdołał nawet rozwiązać bardzo trudne zadanie — wprawiania w ruch nóżek laleczek (przytrzymując je zapomocą belki) z jednoczesnem swobodnem poruszaniem główkami. Specjaliści powiadają, że Czesi, którzy celują w sztuce marjonetkowej nie zdołali osiągnąć podobnego rezultatu.

Inne są nieco odmienne. W stylowości wykonania — nie mają sobie równych, co przypisać należy olbrzymiej inwencji reżysera Puhonny'ego. Nie mniejszą również ich zaletą jest nadzwyczajna ekspresywność. Dodać musimy wreszcie, że mogą wykonywać nadzwyczajne wprost akrobacje, na widok których trudno powstrzymać się od śmiechu.



Marjonetka — djabeł z transkrypcji „Fausta" granej w teatrzyku w Stuttgarcie.



Dyrektor modernistycznego teatrzyku francuskiego „l'Arc en Ciel" (Tęcza) p. Blattner prezentuje swoje oryginalne kukiełki.

Największymi specjalistami i miłośnikami w tej dziedzinie Czesi. Mistrzem nad mistrze jest reżyser Skupa z Pilzna, ...ego zasługą jest stworzenie 2-ch niesłychanie miłych ku...ek — Speybla i Hurvinecka. Pierwszy z nich — występu... we fraku, sabotach drewnianych i białych rękawiczkach, ... i upośledzony długiemi uszami — to typ niewyczerpanego ...uły. Synalek jego, Hurvinecek, nieurodziwy młodzian cho... drobnemi kroczkami i w odróżnieniu od basującego rodzica ...mawia falsetem.

Wręcz odmiennym typem marjonetek okazał się francuski Guignol. Podobny nieco do używanych w naszych szopkach kukiełek, Guignol nie chodzi — gdyż nie posiada nóg, ręce jego natomiast są w ciągłym ruchu, chwyta nawet przedmioty, a wali jak cepami skoro tylko zdarzy się sposobność. Wesoły i bezpośredni, — Guignol znakomicie charakteryzuje zamiłowanie ludu francuskiego i maluczkich do szczerego humoru i niewymuszonej radości życia.



Poza kukiełkami, znanemi z szopek ludowych, posiadamy w Polsce doskonałe szopki polityczne. Kukiełka z tegorocznej szopki „Cyrulika Warszawskiego".

KRANAWAŁ SIĘ KOŃCZY

(Dokończenie ze str. 11-ej).

i na dzienne wizyty. A jak zatrzymali na kolację, to zdejmowałam bolero i byłam odrazu dość rozebrana, aby być stosownie ubraną.

— Wzniosły i głęboki aforyzm. A na żadnej reducie nie byłaś?

— Owszem, poszłam na aktorską, w dominie, peruce i masce z koronką. Zamierzałam szaleć i intrygować.

— Z pewnością świetnie się udało.

— Aha! Wpadłam odrazu w tłok masek i źle wychowanych fraków. Taka byłam speszona tem, że nieznajomi mówią mi ty... Domino krępowało ruchy, maska nacierała oczy. Wreszcie ktoś mnie uszczypnął... omal się nie rozpłakałam.

— No i jakżeś się wydostała?

— Zobaczyłam znajomego, który zaczepiał jakieś frywolne maseczki. Chciałam go pointrygować, ale mnie odrazu poznał i zapytał: — Co pani tu robi? — bardzo zgorszonym głosem.

— Więc?

— A nic. Pomógł mi wydostać okrycie z szatni i wsadził poczciwie do auta. Znać było jednak, że mu się ogromnie śpieszy do tamtych maseczek. Oto dzisiejsza młodzież!

— Czy to prawda, że niektóre panie kupują swoim tancerzom bilety na bal, aby tylko mieć z kim tańczyć?

Lala wyprostowała się dumnie.

— Mnie to się nigdy niezdarzyło, przynajmniej dla siebie. Inna sprawa, że odkąd bawię siostrzenicę, czasem wezmę parę ulgowych biletów dla niezamożnych kuzynów i rozdam, mówiąc, że są bezpłatne.

— Na Balu Mody byłaś?

— Byłam, ale to nic ciekawego podziwiać cudze toalety. A zbyt silna konkurencja, aby móc wzbudzić podziw dla własnej. Ot na Bal Pana to się cieszę. Mężczyźni niech się wygłupiają!... „Sędziami wówczas będziem my!"

— Dużo masz jeszcze bali?

— Sporo.. Dekorowane stoliki, Czerwony Krzyż, Premjowane pączki, „Koła Polek"...

Wybiła godzina trzecia.

— Spóźnię się do krawcowej — zawołała Lala, zrywając się z miejsca. Zakręciła się, jak fryga, potrąciła opasłego gościa, poprosiła przystojnego porucznika i zniknęła, zostawiając za sobą smugę perfum, przewróconą filiżankę i nieuregulowany rachunek.

Ach, jak to dobrze, że karnawał się kończy!

Well.

Programy teatralne

WIELKI.

Dn. 27 b. m. „Zmierzch Bogów".

Dn. 28 b. m. „Uprowadzenie z Seraju" i „Szopeniana".

Dn. 1 marca „Lohengrin".

Dn. 2 marca popoł. „Ostatni Pierot", „Kleks i Serduszko".

Dn. 3 marca przedstawienie zawieszone.

Dn. 4 marca „Straszny dwór".

NARODOWY.

Codziennie „Bal w obłokach".

LETNI.

Codziennie „Mąż naszej panienki".

NOWY.

Codzienie „Magja".

POLSKI.

Codziennie „Melodramat".

MAŁY.

Dn. 27 b. m. „Wilki w nocy".

Od dn. 28 b. m. codziennie „Związek niedobrany."

ATENEUM.

Codziennie „Karol i Anna."

„MORSKIE OKO".

Codziennie rewja p. t. „Gwiazdy Warszawy".

QUI PRO QUO.

Codziennie rewja p. t. „Dookoła Bartel".

ORFEUM.

Codziennie „Sandomierskie wesele".

„WESOŁY WIECZÓR"

Codziennie „Weź mnie".



Dnia 15 b. m., w salonach Polskiego Towarzystwa Łowieckiego, odbył się bankiet z okazji 20-lecia istnienia Zjednoczonej Fabryki Żarówek S. A., której wyroby pod marką „Tungsram" znalazły w całym kraju uznanie.

W KRAINIE MAHARADŻÓW

(Dokończenie ze str. 5-ej).

Rozległ się wystrzał, a raczej dwa wystrzały. Jeden Mrs. X..., która naturalnie zrobiła dziurę w ziemi o dwa metry od bestji i drugi *shikarisa*, ukrytego z lewej strony słonia nr. 3, który faktycznie przedziurawił cielsko tygrysa. Tygrys zerwał się z głębokiego snu, uczynił ogromny skok, wszystkiemi czterema łapami i upadł w trawę zwalczony śpiączką.

Ja z majorem ledwo mogliśmy wtrzymać od śmiechu. To nie było polowanie na tygrysa, tylko scena z cyrku Medrano. Dowódca *shikarisów* mruknął wściekle:

— Ah! stary nicpoń! Tak mnie urządzić! — Następnie wykrzyknął na cały głos z entuzjazmem:

— Brawo! Pani go zraniła! Niech pani strzela jeszcze raz!... W przeciwnym bowiem razie rzuci się na pani słonia!...

Wreszcie komedja dobiegła końca. Kiedy dowódca *shikarisów* był przekonany, że zwierzę jest martwe, pozwolił nam zsiąść na ziemię. Mrs. X... wzruszona, co mówię, wstrząśnięta odniesionem zwycięstwem biegła pierwsza, poprzez wysoką trawę. Dotknęła się stygnącego cielska zwierzęcia, które zmarło bez bólu niczem pacjent pod chloroformem i obcięła nożyczkami białe wąsy, którym w całych Indjach przypisują tajemnicze własności.

Teraz wybiła godzina kodaka. Mrs. X... oparła swą piękną nóżkę na głowie drapieżnika, usiadła pomiędzy łapami zwierzęcia, położyła się nanszalancko na cielsku swej ofiary; z fuzją, bez fuzji, w kapeluszu, bez kapelusza. Książe niechciał brać udziału w tej komedji.

Szampan lał się strumieniem. Mrs. X... rozbiła butelkę na głowie nieszczęśliwego zwierza, nadając mu imię Krishna. Książe, zakochany po uszy, zgadzał się na wszystko. Mrs. X... zajadała się świetnemi sandwiczami, poczem przypudrowawszy nosek, zapaliła papierosa, założyła nogę na nogę i zaczęła opowiadać:

— Naprawdę! Doznałam prawdziwego dreszczu w chwili, kiedy bestja szykowała się do skoku na mojego słonia... Wtedy wycelowałam i...

...zaczęła opowiadać nam od początku historję swojego tygrysa.

COCTAIL PARTY

(Dokończenie ze str. 8-ej).

Sprężynowy nóż Wicka pokrajał tymczasem miękkie futerko na kilkadziesiąt wązkich pasków. Załosne strzępy krecich skórek, wraz z błyskającą tu i owdzie jasną jedwabną podszewką, przypominały teraz skrawki, które się zmiata z podłogi i wyrzuca na śmietnik. Wicek odszedł powoli od drzwi, uśmiechając się do Janki.

— Widziałaś?

Tej ze strachu zaczęły zęby stukać, ale odpowiedziała:

— Wi... Widziałam...

Wicek pogładził dziewczynę po głowie.

— Uważaj. Zaraz z nią jeszcze inny teatr zrobię.

Wyprostował się, oparł plecami o ścianę i powiedział do Zośki:

— Wstań!

Zośka ani drgnęła.

— Zośka. Do ciebie mówię. Wstań!

— Po co?

— Kusz! Nie twoja rzecz pytać. Chodź do mnie!

— Po tem, co zrobiłeś? Nie pójdę!

— Pójdziesz. Porozmawiamy.

— Z chamami nie rozmawiam!

— Taaaak...?

To, co teraz nastąpiło, stało się tak szybko, że większość obecnych nie zdążyła nawet ruszyć się z miejsc. Raz — Wicek jednym susem znalazł się przy Zośce i wyrżnął ją w twarz, aż trzasło. Dwa — Felek runął na Wicka. Trzy — błysnął Wickowy sprężynowy nóż. — Cztery — rzuciła się pomiędzy nich ta schrypnięta, Dziobata. (Nieźla była naprawdę dziewczyna, ale głupia!) Pięć — Wickowy nóż wjechał aż po trzon w miękką, sflaczałą pierś...

*

Kiedy, po paru godzinach, wszystko się w domu uspokoiło, kiedy Dziobatą zabrali do trupiarni, a resztę — trzema taksówkami, pod konwojem policji, gdzie należało, — na całonocne, wściekłe mordobicie — w ciemnej, opustoszałej suterenie zaczęło szuścić...

Z dziury koło zlewu wylazły dwa szczury. Chwilę węszyły niespokojnie, poczem pobiegły z piskiem do kałuży skrzepłej, ludzkiej krwi.

Rozrywki umysłowe

KRZYŻÓWKA KONKURSOWA.

(Pierwsze zadanie konkursowe.)

1	2	3	4	5	6
7					
8					
9				■	
10		■	■	11	
12					

ZNACZENIE SŁÓW.

Wyrazy pionowe:

1. Inaczej pakunek,
2. Jeden ze stanów Am. Półn.
3. Imię rosyjskie (wspak),
4. Rola, teren (wspak),
5. Przyimek (niem.),
6. Kraj w Azji,
11. Nazwa litery.

Wyrazy poziome:

1. Inaczej pomówi,
7. Przydomek jednego z arystokratów polskich (wspak),
8. Imię żeńskie,
9. Śmierć,
10. Przysłówek (polski z języka obcego).
11. Wykrzyknik,
12. Część radja.

WIELKI KONKURS ROZWIĄZAŃ

W niniejszym numerze rozpoczynamy nasz wielki wiosenny konkurs rozwiązań.

Konkurs obejmie zadania z sześciu kolejnych N-rów „7 dni", od N-ru 9-go do N-ru 14-go włącznie.

Zadania, włączone do konkursu, oznaczane są jako „konkursowe".

W każdym z wymienionych N-rów zamieszczony będzie numerowany kupon.

Warunkiem uczestniczenia w konkursie jest nadesłanie do redakcji wszystkich sześciu kuponów.

Wszystkie rozwiązania oraz kupony nadsyłać można łącznie t. j. w jednej zapieczętowanej kopercie, nie później jednak niż w 10 dni po ukazaniu się ostatniego zadania konkursowego, t. j. w dn. 16 kwietnia b. r.

W dn. 23 kwietnia w lokalu redakcji odbędzie się w obecności Czytelników losowanie nagród.

Nagrody rozlosowane będą pomiędzy Czytelnikami, którzy rozwiążą wszystkie zadania konkursowe.

Specjalne nagrody pocieszenia otrzymają ci z pośród Czytelników, którzy nie rozwiążą jednego z zadań konkursowych.

Rozwiązania i kupony nadsyłać należy pod adresem redakcji w kopertach zapieczętowanych z napisem „Konkurs rozwiązań".

Pierwszem zadaniem konkursowem jest krzyżówka, zamieszczona w niniejszym N-rze.

KONKURS

Wśród Czytelników, którzy wezmą udział w „Konkursie rozwiązań" i rozwiążą wszystkie zadania, zostaną rozlosowane cenne nagrody.

Spis nagród zostanie ogłoszony w 10-ym Nrze.

Szereg dodatkowych nagród stanowić będą książki beletrystyczne.

KONKURS ROZWIĄZAŃ „7 DNI"

KUPON Nr. 1 (z Nr. 9)

Nazwisko i imię ....

....

Adres ....

....

ZADANIE „SPOSTRZEGAWCZOŚCI".

W dniu 24 lutego, w lokalu redakcji „7 dni", odbyło się w obecności członków redakcji losowanie, w wyniku którego nagroda w wysokości 100 zł. za rozwiązanie zadania „spostrzegawczości przypada p. Cecylji Orłowskiej, Lublin, ulica Unicka Nr. 6. Rozwiązanie zadania umieścimy w N-rze 10-ym.

Nagrodę przekazujemy pocztą.

BILETY WIZYTOWE (poza konkursem).

ułożyła *Marja Łaszewska.*

Z podanych poniżej biletów wizytowych podać zawód tych osób:

Ł. MESZKE
Samuraj

Z. RĄSUZIK
Radom

P. NADRYC
Rawa

REŃE DYMITTA
Z. A. S. P.

Rotm. OPYKOZ

Za rozwiązanie powyższych biletów wizytowych redakcja przeznacza trzy nagrody w postaci książek beletrystycznych. Termin rozwiązania 10-dniowy.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (7)

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW:

W Nizzy odbywa się Kongres Wielkiego Traktatu Narodów, pod przewodnictwem ambasadora Anglji, lorda Yeovil. Obrady idą opornie, przyczem sytuacja komplikuje się tajemniczem samobójstwem przedstawiciela Japonji. Grant Slattery, przyjaciel lorda b. narzeczony Gertrudy von Dirs, organizuje wycieczkę morską, na swym prywatnym yachcie, gdzie poznaje niejakiego Blunna. Po powrocie do Monte Carlo Grant udaje się do restauracji Carlton, na schadzkę z tancerką Cléo, która miała mu opowiedzieć rewelacyjne szczegóły o porozumieniu niemiecko - japońskiem. W ostatniej chwili Cléo odmawia wszelkich zeznań.

Itash odsunął niecierpliwie butelkę i dał nowe zamówienie. W oczach jego zapaliły się jakieś płomyki:

— U ludzi Wschodu pozostaje, mimo wszystko, zawsze nieodłączna cecha Azjaty — to jest ciekawość. Teraz, kiedy jesteśmy razem, chciałbym wiedzieć, o czem państwo mówili przedwczoraj z takiem przejęciem w kącie baru?

— Starałem się przekonać panią, że tango jest tańcem absolutnie niedoskonałym. Brak mu stałego systemu, co jest istotną cechą tańca — wtrącił Grant szybko.

— Ja niezupełnie zgadzałam się z panem — dodała.

Wydawało mi się, że państwo całą sprawę traktują bardzo serjo.

— Oczywiście — odrzekł Grant — taniec jest zawodem panny Cléo, a moja najulubieńsza rozrywką.

— Ale chyba nie jedyną? — spytał błyskawicznie Itash.

— Owszem grywam chętnie w golfa, żegluję i jestem możliwą ręką w tennisie.

— Czy nie ma pan naprawdę żadnych innych, poważnych zainteresowań? — zapytał Itash niedowierzająco.

Grant pochylił się nieco nad stołem.

— Proszę mi wierzyć — zwrócił się do swego towarzystwa — kiedy rozpoczynałem życie, traktowałem je bardzo serjo. Byłem dosyć zamożny. Szukałem jakiegoś zawodu. Wstąpiłem do dyplomacji i cóż się stało? Otrzymałem 17 miljonów dolarów spadku po Van Roordenie i stałem się absolutnie leniwy i gnuśny. Silniejszych ode mnie takie rzeczy wykoleiły.

Hrabia Itash odzyskał swoją maskę spokoju, na twarzy jego nie było cienia niepewności. Nalał swej towarzyszce i Grant'owi wina do kieliszka. — Piję pana zdrowie, panie Slattery, miałem jakiś koszmar, który jednakże już zupełnie minął.

Stuknęli się kieliszkami.

Itash nachylił się do panny Cléo.

— Zatańczy pani ze mną? — wyszeptał.

Wstała natychmiast. W tej samej chwili usłyszał Grant jakieś szepty u drzwi sali. Była to Gertruda i Artur Lymane.

ROZDZIAŁ XI.

Grant udawał znakomicie obrażonego. Przypadkowo zwierzyła mu się Gertruda w chwili, kiedy opuszczali jego yacht, że ma ból głowy i że musi natychmiast iść spać.

— Winszuję pani z powodu tak szybkiego odzyskania zdrowia — wyszeptał.

Opanowała się natychmiast. Podnosiła powoli w górę brwi.

— Mój ból głowy! Gorąca kąpiel i aspiryna pomogły znakomicie. Pan Artur był tak miły, że zatelefonował właśnie, kiedy nie wiedziałam, czy mam iść do klubu, czy też położyć się spać. Namówił mnie, żebym tu przyszła, z czego jestem bardzo rada, bo nie byłam tu jeszcze w tym sezonie. A gdzie są pana przyjaciele?

— Przyszedłem tu z tym nader interesującym panem, którego spotkałem na kortach tennisowych. Nazywa się Itash i jest zdaje się bardzo zaabsorbowany tą małą tancerką w czarnej sukni.

Gertruda spojrzała nań przenikliwym wzrokiem:

— Nie przypuszczam, aby pan, będąc trzecim w tem towarzystwie, mógł się dobrze bawić?

— Mała tancerka jest dla mnie tylko chwilowym dodatkiem. Sądzę, że mój dzisiejszy gospodarz nie jest o mnie zazdrosny. Odejdzie z nią, kiedy zechce i sam nastawał, abym z nim tu przyszedł. Myślę poważnie o tem, aby zaznajomić się z jedną z tych tancerek, właszcza z tą o rudych włosach i zielonych oczach. Zdam się na jej łaskę i niełaskę.

— Niech pan siada z nami — zapraszała krótko Gertruda.

— Pod żadnym pozorem. Nie chcę być znów przystawionym en troisième. Nie jestem bynajmniej obrazony, może tylko zlekka dotknięty. Podejdę moze później za chwilę, by złożyć pani me uszanowanie. Tymczasem jednakże marzę o tancerce z sąsiedniego stolika.

— Cóż pan jej powie? — pytała Gertruda.

— Powiem poprostu: Mademoiselle, niezbyt wielkie są moje uroszczenia i pretensje. Jestem Amerykaninem, właścicielem dużej fortuny, yachtu i grubej książki czekowej, z której zbyt mało korzystam. Czy wolno mi będzie raz z panią przetańczyć? To będzie wszystko, co mam zamiar powiedzieć.

— To brzmi dosyć interesująco — zauważyła Gertruda z odcieniem lekkiej ironji — tylko, że prawdopodobnie odmówi panu. Pomyśli, że pan wypił za duzo wina, gdyż wyda jej się to wszystko nazbyt wielkiem szczęściem.

— Zobaczymy — odpowiedział Grant, żegnając ją niskim ukłonem.

Gertruda patrzała w stronę odchodzącego. Zauważyła, jak Grant podchodził do dziewczyny, wyszeptał parę słów, które wywarły najwidoczniej piorunujące wrażenie. Urocza tancerka wstała bez najmniejszego ociągania i zaczęła natychmiast tańczyć z Grantem. Gertruda zagryzła wargi i usiadła przy stole z Arturem.

— Monte Carlo jest zbyt małą miejscowością dla podobnych przedsięwzięć — wyszeptała.

— Ale życie jest zbyt krótkie, by na to zwracać uwagę — dodał szybko Artur.

Gertruda umoczyła usta w winie i wyszeptała:

— Jakie to dziwne, mam wrażenie przez cały czas mego pobytu, jakby atmosfera była przeładowana elektrycznością i jakbyśmy siedzieli tu wszyscy na wulkanie.

Artur usmiechnął się wyrozumiale i trochę wyniośle:

— Nie widzę żadnych powodów do niepokoju W najbliższej przyszłości nie grożą nam w każdym razie jakieś katastrofy polityczne.

— Jak może pan to twierdzić?

— Otóż — zauważył — widzi pani: Anglja, Francja, Niemcy, Japonja, Włochy i kilka pomniejszych mocarstw działają ręka w rękę, aby nie złamać pokoju. Jakiejże formy kataklizmu spodziewa się pani i jakaż przypuszczalna katastrofa wywołuje pani depresję?

— Myślę — westchnęła z poza kieliszka szampana — myślę, że może nastąpić koniec świata!

— To są fantastyczne baśnie — zauważył Artur — uczeni twierdzą, że jeszcze conajmniej lat tysiąc istnieć może nasza stara planeta.

— Więc w takim razie, proszę, czem wytłumaczyć można moją depresję i niepokój?

— Mogę jedynie snuć przypuszczenia. Może to pozostaje w jakimś związku z jutrzejszym przyjazdem męża pani?

— To zbyt ostra uwaga, zdradzająca wybitnie pana młodość. Grant Slattery nigdyby się nie zdobył na nic podobnego.

— Przepraszam bardzo, o ile zrobiłem pani przykrość tem przypuszczeniem.

— Nie będę więcej dyskutowała z panem na ten temat. Niech mi pan powie, na jakiej zasadzie zapewniał mnie pan o niemożności wybuchu jakiegoś kataklizmu politycznego.

— Księżno! proszę pamiętać.

— Ach! Już znów. Znam tę śpiewkę. Chodzi o pana oficjalne stanowisko. Jest pan poprostu śmieszny, chyba, że nie obdarza mnie pan nawet cieniem zaufania.

— Nie jestem absolutnie panem siebie, wie pani o tem. Wie pani również, że rozmawiałem z nią zawsze bardziej szczerze i otwarcie niż mi się to dotychczas, w stosunku do kogokolwiek, zdarzało.

— Chcę dowiedzieć się od pana tylko jednego drobiazgu. Odpowie mi pan, jak pan zechce. Czy lord Yeovil naprawdę zapraszał raz jeszcze Amerykę, żeby przystąpiła do paktu?

— Czy słyszała pani o tem cośkolwiek?

— Konstatowano to jako fakt.

— Myślę, że to prawda.

Tymczasem Grant uścisnął tancerce rękę w szczególny sposób. Młoda dziewczyna poczuła w swej dłoni zwinięty czek. Uśmiechnęła się z wdzięcznością:

— Pan jest zbyt łaskaw. Tańczy pan tak świetnie, że nie mogę w żaden sposób uważać tego za lekcję. Jestem zawsze do pana dyspozycji.

Grant skłonił się grzecznie i podszedł do stolika hrabiego Itasha.

— Jestem tu w niebezpieczeństwie — oświadczył — moja rudowłosa tancerka mówiła mi dużo o swej samotności, a ja mam bardzo wrażliwy temperament. Wrócę chyba czemprędzej do hotelu. Morska przejażdżka działa na jedynych ożyw-

czo, lecz na mnie sennie. Pozatem mam nieszczęście, że czuję się dziś wszędzie trzecim, czyli mniej więcej jak piąte koło u wozu.

Itash zaśmiał się wesoło, aż zabłysły jego piękne, białe zęby:

— Niech pan zaprosi tę ładną rudowłosą, z którą pan tańczył i zrobimy une partie carée. Spędzimy tu wesoło wieczór i pójdziemy rano na śniadanie do mnie — proponował.

— Nie jestem już niestety zbyt młody, aby mnie taka nieprzespana noc pociągała. Znam dobrze te zabawy, które kończą się rano białą kawą i szynką z sadzonemi jajami. Obawiam się późniejszego niesmaku. Wolę rozrywki, zakończone serenadą na skrzypcach pod zamkniętemi drzwiami lub krótką nocną przejażdżką.

— On jest bardzo uczuciowy — szepnęła Cléo do Itasha.

— Trzymam mocno w garści te resztki uczuć, które pozostały z dawnych czasów. Inaczej stałoby się życie garstką pyłu, jak twierdzi jakiś perski poeta. A więc żegnam państwa. Opuścił salę z miną triumfatora. W duchu śmiał się ze siebie.

ROZDZIAŁ XII.

Nazajutrz rano trójka zapalonych sportsmenów: lord Yeovil, lady Zuzanna i Grant Slattery spożywali z wielkim apetytem lunch na Mont d'Angel. Lord Yeovil był bardzo rad ze zwycięskiej partji tennisa, w której pobił na głowę swych przeciwników. Dodało mu to dużo werwy i humoru:

— Nie pijam nigdy wina przy śniadaniu, ale myślę, że w tak wyjątkowym dniu, trzeba będzie chyba zamówić coś specjalnego np. Montrachet lub Chateau Yquem?

— To będzie start jak na mój dzień dzisiejszy, który zakończę kolacją z „Dalilą" — odparł żartobliwie Grant.

— Nie dziwię się panu — zauważył lord Yeovil — gdybym był młodszy nie potrafiłbym oprzeć się księżnie von Dirs.

— Kiedym ją poznał — ciągnął Grant w zamyśleniu — była sobie ot, taką prostą amerykańską dziewczyną. Mieszkała na wsi, jeździła konno trzy razy dziennie i doglądała trochę gospodarstwa. Później zaprosiła ją jakaś ciotka do Waszyngtonu, gdzie weszła w świat. Stała się tam bożyszczem młodzieży i wtedy zakochał się w niej bezgranicznie książę von Dirs.

— Niesłusznie postąpiła, wychodząc za niego zamąż — zauważył lord Yeovil. — Ale zostawmy tę kwestję na uboczu, jestem głodny jak wilk i muszę spałaszować moją pulardę.

— Może wobec tego skorzystamy z pożałowania godnego milczenia ojca i pogawędzimy ze sobą, panie Slattery. Ostatnio nie ma pan dla mnie zbyt dużo czasu. Jest pan zawsze tak zajęty; cóż pan właściwie robi?

— Czy przypuszcza pani, że mam mało roboty? Grywam w bridża, w tennisa i w golfa. Pilnuję mojej małej załogi na „Szarej Damie" i muszę się starać, żeby jakoś pozbyć się tych dwuch lub trzech tysięcy franków dziennie.

— Kreśląc plan zajęć zapomniał pan o małym szczególe swego życia, t. j. o księżnie i wypełnianiu jej czasu — wtrąciła Zuzanna złośliwie.

— Są inni, którzy dzielą ze mną ten obowiązek — odpowiedział. — Dzisiaj wieczorem jednak będę musiał być z nią na obiedzie. Będziemy prawdopodobnie oboje bardzo sentymentalni. Zapytam ją, czy jest szczęśliwa z mężem, na którego padł jej wybór. Będziemy oboje mieli łzy w oczach, ona westchnie, a jak spojrzę w sufit. Potem, już w swoich pokojach upudruje zaróżowiony nosek, włoży najpiękniejszy swój peignoir i będzie czekała na powrót męża. Tak to mniej więcej będzie wyglądało.

— Nie był pan nigdy takim cynikiem, cóż się panu stało? — pytała Zuzanna zdziwiona.

— Bardzo wiele rzeczy, lady Zuzanno, więcej niż pani przypuszcza. Za kilka dni pewnie będę mógł opowiadać pani fascynujące historje.

— A tymczasem będzie pan miał łzy w oczach, spoglądać pan będzie na sufit i myślał o kobiecie, którą pan kiedyś kochał. Czy tak?

— I takie rzeczy się zdarzają. Gdy nabędzie pani doświadczenia...

— Doświadczenia?! To wędka na młodych ludzi. Jestem wystarczająco rozsądna, panie Slattery — zaśmiała się ironicznie.

Tymczasem lord Yeovil zjadł deser i rozglądał się naokoło z zadowoleniem. Wśród publiczności nie było ani jednej podejrzanej osobistości. Panowała atmosfera spokoju i wytchnienia.

— Dobrze mi zrobił przedpołudniowy tennis i dzisiejszy lunch tu, na tem odludziu — zauważył lord Yeovil. — A teraz trzeba zabrać się do pracy. Cóż? — zapytał zwracając się do młodzieży — jeżeli chcecie wrócić na korty, to przyślę wam moją maszynę.

Zuzanna i Grant zgodzili się.

Słońce miało się już ku zachodowi, gdy ukończyli ostatniego seta. Zuzanna zaproponowała mały spacer. Była bardziej milcząca i zamyślona niż zwykle.

— Mam wrażenie, że nie bawi się pani w tym roku na Rivierze, jak zwykle. Prawda, panno Zuzanno?

— Ma pan słuszność. Natrafiłam na niezbyt przyjemną atmosferę. Pozatem ojciec mój ma dużo przykrości, bardzo dotknęła go śmierć barona Nagi. Ojciec maskuje się przedemną, lecz łatwo mi jest poznać jego zdenerwowanie. Pan robi wrażenie człowieka, który częściowo tylko żyje w świecie rzeczywistym, a Artur wygląda jakby miał lada chwila popełnić samobójstwo. Jedynie Lancastrowie robią wrażenie ludzi normalnych i to prawdopodobnie dla tego, że wogóle nie mają mózgów. A cóż z panem się dzieje, Grant? Czy pan rzeczywiście stracił głowę z powodu dawnej jakiejś miłości?

— Nie chcę pani oszukiwać, lady Zuzanno. Istotnie jestem trochę nieswój, lecz nie z powodów osobistych. Przewidujemy wszyscy jakieś komplikacje polityczne, o których dowie się pani wcześniej niż przypuszczamy.

Ciekawość Zuzanny nie była całkowicie zaspokojona.

— Wydaje mi się, że traktujecie mnie wszyscy jak niemowlę.

— Myli się pani, chcemy tylko zaoszczędzić pani trosk.

Zuzanna wzruszyła ramionami:

— Czy i z księżną rozmawia pan w ten sposób? Nie wiem dla czego tak nie lubię tej osoby. Odnoszę wciąż wrażenie, jakby wszystkich wykorzystywała, w pierwszej linji pana i Artura.

— W jakiż sposób może nas wyzyskiwać? — pytał.

— Chce poprostu dowiadywać się pewnych rzeczy, z których może zrobić odpowiedni użytek przed mężem. Co do pana jestem spokojna, lecz z Arturem może być gorzej.

Zapanowało chwilowe milczenie.

— Lady Zuzanno — zaczął Grant.

— Panie Slattery?

— Mówiła pani zwykle „Grant".

— Zwracał się pan do mnie „Zuzanno".

— Więc, droga Zuzanno, bądźmy nadal przyjaciółmi — prosił.

— Nie posprzeczaliśmy się przecież.

— Ale wydaje mi się, że panią męczy me towarzystwo, a przecież dawniej tak nie było.

Zuzanna uśmiechnęła się:

— Grant, proszę więc coś zrobić dla mnie.

— Wszystko, czego pani zażąda — zapewniał Grant z dobrą wiarą.

— Niech pan nie je dziś wieczorem obiadu z tą von Dirs — rzekła błagalnie.

Grant czuł się zbity z tropu.

— Droga Zuzanno, nie mogę już z tego się wykręcić.

— Czy pan zaprosił ją, czy też ona na yachcie uplanowała ten obiad?

— Tak, to ona mnie zaprosiła — przyznał. — Idę niechętnie i mam pewne obawy.

— Grant, niech pan zażąda odemnie cokolwiek pan zechce, niech pan tylko nie idzie dziś na ten obiad.

Był zakłopotany i zlekka zdenerwowany. Jakimże ona jeszcze była dzieckiem!

— Zu — prosił — niechże pani będzie rozsądna.

— Tak... właśnie, jestem w pana oczach zawsze dzieckiem i w dodatku nierozsądnem dzieckiem. Aby już upewnić pana w tem całkowicie to — voila.

Wskoczyła lekko do nadjeżdżającej limuzyny ojca i kiwnęła Grantowi ręką na pożegnanie.

— Dziękuję za partję tennisa i życzę przyjemnej zabawy dziś wieczorem.

Grant pozostał sam w alei z lekka zdetonowany.

(D. c. n.).

Na marginesie wznowienia stosunków gospodarczych z Niemcami

W przededniu wznowienia stosunków gospodarczych z Niemcami nie od rzeczy będzie zastanowić się nad niektóremi punktami tego, tak ważnego dla nas zagadnienia.

Zaznaczymy na wstępie, iż różnorodne konkoncepcje w tym względzie, aczkolwiek wysnute z doświadczeń cząstkowych, stanowią jednak tło pozytywne dla wszelkich opinij, jakie powstają o niemieckim naszym kontrahencie.

Stwierdzimy więc po pierwsze, iż wytwórczość niemiecka jest większa od angielskiej, francuskiej i in., oraz że rośnie ona szybciej niż we Francji, Anglji i wielu innych krajach.

Pierwsze tłomaczenie, które odrazu się narzuca w tym względzie jest fakt, iż Niemcy szybciej się rozradzają od innych narodów, powtóre — że masa ludności jest większa niż w innych krajach.

Wyrazi się to matematycznie w następującej formule: jeżeli naród rozmnaża się dwa razy prędzej od innego i przytem jest dwa razy od niego większy, to postępy jego będą cztery razy większe od postępów tamtego.

Nie mniej ważnym czynnikiem jest tu większa wartość gospodarcza, którą przedstawia sobą jednostka, a która w Niemczech ulega stałemu i równomiernemu wzrostowi.

Jeszcze jednym czynnikiem wreszcie jest wybitna rola handlu w życiu ekonomicznem Niemiec, tem lepsze dający wyniki, iż Niemcy zawsze starali się o najdalsze pogłębienie sjecjalizacji wytwórczości.

Celem należytego zbadania rozwoju dobrobytu, będącego, jak powiedzieliśmy, jednym z najważniejszych czynników w życiu gospodarczem Niemiec, musimy poświęcić tu kilka słów zbadaniu duszy niemieckiej.

Słynny uczony niemiecki, prof. Sombart wskazuje w pierwszym rzędzie na właściwy Niemcom brak poczucia formy i skłonności zmysłowo-artystycznych, a w bliskim związku z tem na dwie zasadnicze cechy Niemca: silne poczucie obowiązkowości i uzdolnienie do specjalizacji.

Wybitny zmysł etyczny jest, zdaniem uczonego, pozytywnym odpowiednikiem braku artyzmu. Człowiek o skłonnościach artystycznych patrzy na świat ze strony piękna i harmonji, odczuwa wartość rzeczy w samej sobie; natomiast człowiek tych skłonności pozbawiony szuka wszędzie celowości. Dla pierwszego — poznanie zjawisk świata zewnętrznego i wewnętrznego stanowi cel samoistny, dla drugiego jest ono tylko środkiem do celu. Dla artysty-południowca punktem środkowym będzie „piacere", dla Niemca — „Pflicht" (obowiązek), natrętny wyraz z sześciu rozkazującemi spółgłoskami, które swe *t* niby ostrą strzałę w daleki świat wyrzucają".

„Jesteśmy urodzonymi urzędnikami — powiada dalej Sombart. — Południowiec ze swoją zmysłowo - artystyczno - nieetyczną naturą ma skłonność cały świat grupować dookoła siebie i dlatego może go jako całość dla siebie utrzymać. My rozkładamy naszą indywidualność na szereg części, które zastosowujemy do celów objektywnych i tym oddajemy się we władzę. Ponieważ mamy mało poczucia formy, mało też mamy względu na całość organiczną. Przez to, że osiągamy tak ważną zdolność działania w jednym kierunku, możemy rozwijać oddzielne cząstki naszej istoty i dzięki naszej wytrwałości dojść do wirtuozowskiej specjalizacji".

Zauważymy następnie, iż życie gospodarcze w Niemczech rozwija się pod znakiem olbrzymiego zapotrzebowania na rynku wewnętrznym, co daje możność jaknajdalszego zróżniczkowania cen, wytwarzania masowości w produkcji, a przez to samo konkurowania z innemi krajami. Dominujące znaczenie przypisać należy bezwzględnie masie, która wpływa w dziedzinie wytwórczości na tak dalekie skrzyżowanie się jakości z ilością, iż niepodobnem się staje rozdzielić jednej od drugiej.

Największem jednak ostrzem, którem Niemcy torują sobie drogę na rynkach światowych jest handel

Czytamy w wybitnem dziele Blondel'a p. t. „L'Essor industriel et Commercial du peuple allemand" nast. uwagi, dotyczące rywalizacji anglo-niemieckiej, które tem łatwiej dopomogą nam do zrozumienia tego zagadnienia, iż sami, od szeregu lat pozostawaliśmy w ciągłych stosunkach handlowych z naszymi zachodnimi sąsiadami, rywalizując z nimi na rynkach wschodnich.

Anglicy — czytamy — wytwarzali chustki czerwone na wywóz do Rosji. Chustki te były podłużne, a klijentki zachorowały na manję pożądania tylko kwadratowych. Agent porozumiał się niezwłocznie z fabrykantem, ale dumny Anglosas w żaden sposób nie mógł pogodzić się z myślą, żeby jakieś tam baby z głębi Rosji mogły wywrzeć wpływ na taką inowację w wytwórczości. Oczywista, iż fakt ten nie uszedł uwagi agenta niemieckiego, który niezwłocznie otrzymał zadosyćuczynienie żądaniom bab wiejskich z pod Riazania, od tego czasu jednak angielskie towary zostały na długo usunięte z tego rynku.

Inny przykład miał miejsce gdzieś, w Afryce. Anglicy wywozili igły, sprzedając je murzynom w czarnem opakowaniu, tubylcy jednak niechętnie je nabywali, a to z powodu przesądu, iż rzeczy wyjęte z czarnego przedmiotu przynoszą nieszczęście. Czyż mógł angielski przemysłowiec uledz jakimś tam wierzeniom pogańskim dzikusów? Niemiec jednak wykorzystał ten fakt na swoje dobro i w czerwonych opakowaniach sprzedawał gorszy towar o 20 proc. drożej.

W dalszym ciągu swoich rozważań Blondel wskazuje na 3 przyczyny rozkwitu gospodarczego Niemiec: charakter jednostek, wychowanie, a wreszcie metodę działania, przyczem podkreśla jako cechę dodatkową — zaborczość historycznie przywiązaną do Niemiec.

Przechodząc do bliższej analizy przedmiotu, spostrzegamy z wykazów, które nam rok rocznie wykazuje statystyka, iż wszystkie nieomal państwa na świecie są importerami towarów niemieckich, a zwłaszcza w dziedzinie przemysłu chemicznego.

Czyżby to znaczyło, że jakość tych towarów przewyższa wyroby innych krajów?

Prawdziwą chlubą Niemiec w tym względzie jest pierwszorzędne zorganizowanie naukowe pracy, w której wybitne miejsce znajdują tysiączne rzesze profesorów i doktorów, asystentów i docentów, a jednocześnie mnóstwo czasopism fachowych, zaletami swemi przewyższających wszelkie wydawnictwa w innych krajach.

„Hundert tausend Professoren — Vaterland, du bist verloren (sto tysięcy profesorów, a zginęłaś, ojczyzno!) — z ironją mówi niemieckie przysłowie. Być może. Wszędzie jednak, ale nie tam, gdzie umiejętnie zdołano zaprząc te rzesze uczonych do warsztatów pracy wytwórczej.

Prawda, że wychowanie tak licznych zastępów uczonych wymagało pewnego obniżenia poziomu samej nauki, którą należało uprzystępnić najszerszym masom . Rezultat jednak osiągnięty dla dobra narodu jest wszak tak imponujący (przemysł chemiczny stanowił zawsze w Niemczech około 25 procent całego wywozu), iż należy zdobyć się na podobne poświęcenie.

Znamiennem zjawiskiem wreszcie jest, jak powiedzieliśmy masowość produkcji, dzięki której umiejętności ludzkie ulegają tak dalece zmechanizowaniu, iż niepodobna już źle wyrabiać towary.

Jeśli przed wojną Niemcy doszły do podobnego stopnia rozwoju gospodarczego, to konieczne po zawarciu pokoju dzieło odbudowy zostało im znakomicie ułatwione, zwłaszcza dlatego, iż rozrost naturalny ludności był zawsze u nich tak wielki, iż dobrobytu masy nie mogły osiągnąć tak szybko i łatwo, jak we Francji i Anglji i wysiłek ich oddawna był zaprawiony do natężonej walki o byt.

Karne szeregi warstw robotniczych podejmowały najtrudniejsze zadania, kupiec wyjeżdżał na najdalszą podróż i gotów był ponosić największe ryzyko — a obcy kapitalista, doskonale znając te zasadnicze cechy psyche niemieckiego narodu, chętnie inwestował kapitały, uważając niemiecki warsztat wytwórczy za doskonały objekt a kupca za znakomitego pośrednika.

Przechodząc do sprawy odnowienia stosunków handlowych z Niemcami musimy mieć na uwadze, iż najważniejszą podstawą do naturalnego rozwoju tych stosunków jest wymiana produktów przemysłowych z Niemiec na produkty rolne, które od nas możemy wywozić, co w równej mierze interesuje oba narody. Oprócz produktów rolnych posiadamy jeszcze szereg produktów naturalnych, których Niemcy stale mogą od nas potrzebować.

Ważnem jest atoli, — i o tem nie możemy zapominać — iż narody przemysłowe zawsze miały i mieć będą przewagę naturalną nad narodami rolniczemi, a to z powodu przewagi środków materjalnych i moralnych do rozwoju, a przedewszystkiem z powodu większej niezależności.

Wynika stąd dobitnie, iż jeśli wznowienie stosunków gospodarczych z Niemcami może być dla nas sprawą niezmiernie doniosłą, gdyż da nam większe ułatwienie dla dzieła dalszej budowy życia ekonomicznego w Polsce, to fakt ten należy traktować li-tylko, jako ułatwienie warunków pracy, które musimy jaknajdalej wykorzystać, rozbudowując niewystarczające dla samodzielności gospodarczej warsztaty wytwórcze.

R.

Z wydawnictw lotniczych

Ukazał się niedawno Nr. 3 *„Lotu Polskiego"* organu oficjalnego L. O. P. P. i Aeroklubu Rzeczypospolitej.

Numer ten zawiera ciekawą ankietę literacką p. t. „Literaci o lotnictwie", przeprowadzoną przez Jerzego Lewestama.

Prócz tego numer zawiera: Michał Ochorowicz — wiersz p. t. „Nungesser i Colli", Halewski — „Odmienne zapatrywania", kpt. Cybulski — „Czesław Tański", B. J. Popławski — „Przyszłość lotnicza Polski", pułk. Mario Roatta — „10 i 9 stycznia w Rzymie", A. R. — „Niemiecka policja lotnicza", K. Grudziński — „Lotnictwo cywilne w Jugosławji", dr. Marjan Stępowski — „Co opowiadał oficer radjowy Hrabiego Zeppelina", por. M. Ziembiński — „Obrona przeciwgazowa", Jerzy Lewestam — „Zwycięstwo silnika" (nowela); konkursy, humor, rozwiązanie zadań i t. d.

DEFILADA NARCIARZY ZAWODNIKÓW O MISTRZOSTWO POLSKI W ZAKOPANEM.



Feralna trzynastka, którą oznaczony był mistrz zeszłoroczny, Bronisław Czech nie przy niosła szczęścia znakomitemu asowi polskiego narciarstwa. W ostatniej chwili nawet — wobec doskonałego,59-o metrowego skoku (rywal jego K. Szostak osiągnął 41 i pół m.), zdawało się, że zaszczytny tytuł mistrza Polski zostanie przy popularnym Bronku. W ostatniej atoli kolejce niespodziewany upadek i połamanie nart przechylił szalę zwycięstwa na stronę Karola Szostaka, który został obwołany mistrzem na rok 1930.

Czy istniała naprawdę piękna Helena?

W świecie uczonych już oddawna istniały spory na temat Homera i Iljady, walki o Troję i t. zw. greckich wędrówek, i najrozmaitsze, sprzeczne z sobą teorje posługiwały się mniej lub więcej szczęśliwie całym szeregiem dowodzeń i argumentów, opartych na badaniach historycznych i wykopaliskach. Przez dłuższy czas podawano w wątpliwość nietylko historyczne istnienie Homera, lecz także fakt wojny trojańskiej, i, oczywiście, historyczność postaci, biorących w niej udział. Twierdzono, że Iljada jest tylko udatnym zbiorem mitologicznych opowieści i lokalnych podań, że Homer mógł zupełnie nie istnieć, i że tedy piękna Helena jest tylko... zajmującą baśnią.

W ostatnich jednak czasach nastąpił znowu przewrót. Znakomity profesor Dörpfeld, szczęśliwy następca słynnego Schliemanna, prowadząc cierpliwie dalsze prace nad wykopaliskami Troi, doszedł do posiadania dowodów, które, połączone z wynikiem innych historycznych badań, potwierdziły niewątpliwie historyczną prawdziwość kultury, przedstawionej przez Homera w Iljadzie. Odtąd też wojna trojańska uznawana jest za fakt historyczny, a co za tem idzie, Iljada za powieść historyczną. Sprawa oczywista, że nie każdy jednak szczegół ma wartość historyczną. Pozatem Iljada oparta jest na ślepej wierze w wszechpotężny Los, w ciążące nad światem Fatum, wobec którego nawet bogowie grają tylko drugorzędną rolę. Dlatego-to wiele spraw w Iljadzie budzi szereg wątpliwości, w wiele „faktów" uwierzyć trudno, i łatwo jest na tem tle snuć wiele teoryj i domysłów. Panowie archeolodzy, którzy cierpliwie badali okolice dawnej Troi, mierzyli wzgórza i odległości, zwiedzili brzegi Skamandru i pola walki, orzekli, że „wszystko się zgadza", i że Homer opisał „rzeczywiste okolice i rzeczywiste boje". Ha, — skoro tak, tedy najprawdopodobniej i motyw wojny podany jest w Iljadzie „prawdziwy", ergo i piękna Helena istniała „naprawdę".

A jednak...

Posłuchajcie jeszcze.

Sir Walter Leaf, spokojny i doświadczony Anglik, napisał dwie przepiękne książki o Troi i wykazał w nich nieporównane znawstwo przedmiotu. Nie zgadza się jednak z twierdzeniami swych poprzedników i pięknej Heleny nie uważa za powód homeryckich bojów. Twierdzi, że wojna trojańska była wojną handlową, wywołaną konieczną dla Greków ekspansją na wschód, gdyż o zachodzie (o istnieniu Włoch) jeszcze niewiele wiedzieli, szanowni zaś Trojanie zamykali im dostęp do Czarnego Morza i zapewne więzili, lub zmuszali do wysokich opłat przepływające greckie okręty. A więc — twierdzi dalej sir Leaf — państewka greckie zorganizowały wspólną, wielką wyprawę (tak wielkiej nie było później aż do czasów Aleksandra Wielkiego) i zdobyły, i zburzyły znienawidzoną Troję.

Lecz jeśli tak — to powstaje naturalne pytanie, czemużto Grecy po zburzeniu Troi powrócili natychmiast do ojczyzny i zdobyczy nie ubezpieczyli, kolonij nie założyli? Bo greckie osady powstały tam znacznie później, i założenia ich w żadnym wypadku uważać nie można za skutek wojny trojańskiej.

A więc znowu wątpliwości, i znowu powstają argumenty na korzyść istnienia pięknej Heleny!

Lecz za jej istnieniem wypowiada się także sir Walter Leaf. Pisze on: istnienie Heleny nie wydaje się nieprawdopodobnem. Przecież zawsze bezpośrednią i *reklamowaną* przyczyną wojen bywa sprawa czci, honoru, wolności, — chociaż przyczyną rzeczywistą, a nieraz głęboko ukrytą, są zazwyczaj sprawy natury ekonomicznej. Zdarzyć się ponadto mogło, że uprowadzenie czy porwanie pięknej Heleny, małżonki potężnego króla, było tą ostatnią kroplą, która przepełniła czaszę cierpliwości greckiej, i spowodowała wyruszenie potężnej wyprawy... już zdawna przygotowywanej. Może nawet Grecy byli bardzo zadowoleni, że się to porwanie Heleny zdarzyło. Dało ono właśnie te pozory, na które może już lata czekano. Porwanie kobiety było zapewne w tych czasach rzeczą zwykłą, lecz porwanie królowej godziło w honor władców i w honor narodu.

Tak mądrze nam to wyjaśnia sir Walter Leaf, a wszyscy zwolennicy istnienia pięknej Heleny cieszą się naprawdę. Co tam! Była czy nie była przyczyną wojny, ale grunt, że była! Przecież genjalny Homer tak z niczego chyba jej nie stworzył i nie nablagował nam o jej piękności, skoro, jak stwierdzono, nie blagował o wojnie trojańskiej. Także w jej „boskie" pochodzenie sami Grecy pewnieby nie uwierzyli. Jużto szanowni ziomkowie Sokratesa stanowcza mieli słabość do swoich pobłażliwych bogów. Chętnie dzielili się z nimi swemi ziemskiemi rozkoszami, i czynili ich łatwo matkami i ojcami ziemian. Co tylko nieco sławniejszy ród, to zaraz znajdziesz tam w trzeciem wstecz pokoleniu boga—ojca lub matkę—boginię. Szczęśliwe kobiety zawsze miały wykręt: to od boga-ojca, panie mężu, i sprawa skończona. A zadowolony bóg-ojciec wygrzewał bezpiecznie członki swe, na brzegu słonecznego morza...

A więc, proszę państwa, piękna Helena istniała naprawdę. Twierdzi to wielki Homer, twierdzą uczeni, twierdzi sir Leaf i potwierdzam ja. I ażeby całą sprawę „ostatecznie przypieczętować", w najbliższych dniach napiszę nowelę historyczną, która się będzie zaczynać od słów: „...Żyła pod niebem Grecji przepiękna Helena...."

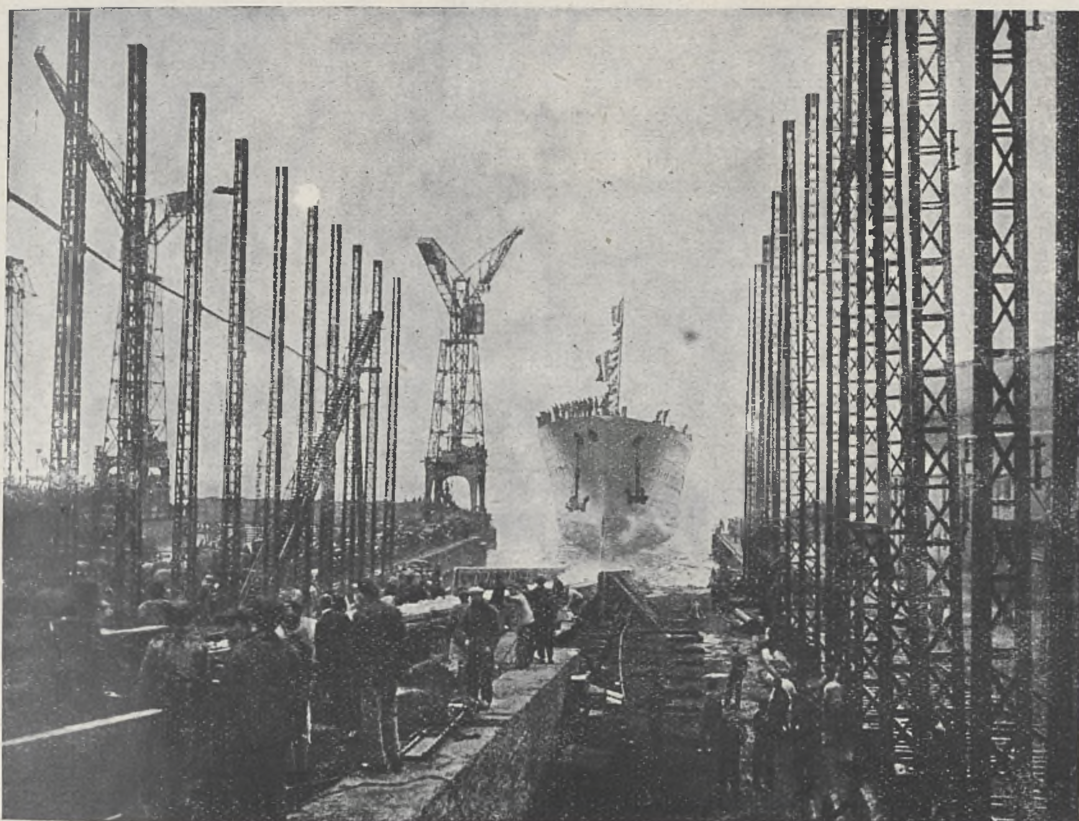
Wiktor Przecławski.

TŁUMY WIDZÓW NA ZAWODACH NARCIARSKICH W ZAKOPANEM.



Nielada sensacją w Zakopanem były biegi narciarskie o mistrzostwo Polski na rok 1930, które zgromadziły licznych miłośników tego pięknego sportu. Trasa prowadząca od startu na Wilczniku była niezmiernie urozmaicona, wynosiła osiemnaście kilometrów poprzez pagórki, potoki, laski i zagajniki.

TO TAMTO I OWO



Przed kilkoma dniami odbyło się spuszczenie szkolnego okrętu francuskiego „Jeanne d'Arc".

PARASOL NOŚ... CHOĆ JESTEŚ MRÓWKĄ.

Tym razem mówić będziemy nie o parasolu, który, według słów poety, należy „nosić i przy pogodzie". Nie będzie mowy o instrumencie, służącym jako deszczo lub słońco „chron", lecz... o owadach. „Parasolami" bowiem nazywają nietylko w całej Brazylji, lecz i w innych krajach tropikalnej Ameryki pewien gatunek mrówek.

Nazwę tę otrzymały owe pracowite insekty dlatego, że wycinają okrągłe kawałki z liści lub płatków kwiatowych i, trzymając je mocno w szczękach ponad głowami, niczem parasole, wędrują tak do swoich mrowisk. Robi to zupełnie takie wrażenie, jakby się zwierzątko chciało uchronić od palących promieni słońca. Wycięty kawałek liścia jest znacznie większy od samej mrówki, a podczas wiatru działa jak żagiel, tak że biedna mrówka posuwa się naprzód z największym trudem, chwiejąc się z boku na bok.

Bardzo zajmująco opisuje pochód kolumny „parasoli" prof. dr. A. Seitz, znany entymolog niemiecki. Według słów uczonego robi to wrażenie jakiejś demonstracji ze sztandarami, które są raz żółte, raz lila, to znów czerwone. Zależy to oczywiście od tego, z pod jakiego przekwitającego drzewka zebrały mrówki kwiaty, aby wyciąć z nich owe pseudo-parasole. Wrażenie takiego mrówczego pochodu potęguje się jeszcze tem, że parasole są nie tylko jednakiej barwy, ale i tych samych rozmiarów. W mrowisku liście zostają przeżute na miękką, gąbczastą masę, którą mrówki rozkładają w pobliżu swej siedziby. Masa ta zostaje następnie najprawidłowiej w świecie znawożona, poczem sadzi się na niej pewien gatunek smakowitego grzybka. Hodowla ta przypomina do pewnego stopnia hodowlę naszych pieczarek.

Mrówki-parasole, czy też mrówki z parasolkami są, jak widzimy, ogrodnikami z zamiłowania. Stają się one jednak, według prof. Seitz'a, dla brazylijskich kolonistów poprostu klęską, gdyż największem, niestety, powodzeniem cieszą się u mrówek tamtejsze ogrody warzywne.

Okrzyk: „mrówki idą!" podrywa na równe nogi cały folwark kolonisty. Poczawszy od właściciela, a skończywszy na dzieciarni — wszystko uzbraja się w latarnie i biegnie nadwór, napady bowiem szkodników odbywają się zazwyczaj nocą. Trzeba więc przeszukać z trudem każdy zakątek w ogrodzie oraz na podwórzu i znaleźć punkt, przez który wróg wtargnął. Wówczas dopiero można trafić na główną jego fortecę — mrowisko. Mrowisko i plantacje z grzybami należy koniecznie zniszczyć zapomocą różnych żrących cieczy i gorącej wody, w przeciwnym bowiem razie można się pożegnać z plonami ciężkiej pracy w ogrodzie warzywnym. Mrówki nie pozostawią *ani jednego listka...*

Potną i wyniosą kapustę, kalarepy, wspaniałą sałatę w główkach, a nawet drobne zioła kuchenne; wiele drzewek owocowych zostanie zupełnie pozbawione liści, a krzewy ozdobne — kwiatów.

Ktokolwiek w Brazylji kupuje ziemię, ten musi się przedtem jaknajdokładniej przekonać, czy na gruntach, które nabyć zamierza, nie znajduje się w większych ilościach ów niszczycielski gatunek (nazwa naukowa *Atta*) mrówki. Często się bowiem zdarza, iż koloniści, po wielomiesięcznej pracy karczowania, muszą się wyrzec swej posiadłości, do tego stopnia niewinne na pozór „parasole" są w stanie zatruć im życie.

Dr. E .S.

WYSTĘPY AL. JOLSONA W WIEDNIU.

Ulubieniec music-hallów na Broadway, znakomity piosenkarz Al. Jolson, przyjeżdża do Wiednia w połowie kwietnia na występ gościnny. Honorarjum artysty za jeden wieczór wynosić będzie 5000 dolarów. By uprzystępnić szerszym warstwom publiczności korzystanie z koncertu, uplanowane zostało urządzenie w kilku salach transmisji gigantotonowej. W ten sposób większa ilość miejsc da możność obniżenia cen biletów.

Po występach w Wiedniu Al. Jolson został już zaangażowany do Berlina na 14 występów, gdzie ma otrzymać równie wysokie honorarjum.

W OSLO KWITNĄ RÓŻE.

Donoszą z Oslo, że na Skandynawskim półwyspie wiosna czarodziejka hojną dłonią już roztacza swoje skarby. Wokół miasta kwitną róże. Norweskie gazety podają codziennie fotografje pól i ogrodów w kwitnącej szacie.

EDGAR WALLACE BADA TAJEMNICĘ DUSSELDORFU.

Niepokojący od dłuższego czasu opinję publiczną krwawy morderca z Düsseldorfu pozostaje wciąż jeszcze nieuchwytnym.

Znany autor licznych kryminalnych powieści i dramatów Edgar Wallace, pracuje obecnie nad wyświetleniem zagadnienia, kim jest ta niesamowita postać. Wallace twierdzi na zasadzie zebranych dotychczas danych w głównej komendzie policji berlińskiej, że znalazł klucz do rozwiązania tej zagadki.

List zbrodniarza pisany w swoim czasie z dokładnem objaśnieniem miejsca, gdzie znajdują się zwłoki, zamordowanego przez niego dziecka, jest dowodem zupełnie wystarczającym, zdaniem Wallace'a, dla określenia zawodu, charakteru, nawyków życiowych i nawet miejsca pobytu zbrodniarza.

Wedle niego morderca znajduje się obecnie w Düsseldorfie i łatwo go będzie tam odnaleźć.

Sposób pisania litery R. będzie decydującą okolicznością, która pozwoli ująć zbrodniarza.

Wśród książek

Jane Grey — Rzeka opuszczona — przełożyła z angielskiego J. Zawisza-Krasucka — Wydawnictwo M. Arcta. Warszawa 1929. — Str. 272. — Wydanie ilustrowane.

Jane Grey — Nevada — powieść z życia Dalekiego Zachodu — autoryzowany przekład Stefanji Heymanowej. — Wydawnictwo M. Arcta. — Warszawa 1929. — Str. 304. — Wydanie ilustrowane.

To są naprawdę piękne i zajmujące powieści, szczególnie „Nevada", który jest dalszym ciągiem „Rzeki opuszczonej". Typy zarysowane mocno, jaskrawie, wyraziście, — opisy przyrody piękne, — akcja żywa, barwna, wzbudzająca niesłabnącą ciekawość. Wszystkie awantury, przygody, intrygi malowane tak, że nie budzą dreszczów niezdrowej sensacji, nie mogą zaszkodzić nawet dziecku. Zdrowy, piękny, świadomy siebie idealizm prześwieca te opowieści. Walka o honor i szczęście — to treść obu powieści, a walka ta buduje niezłomne charaktery, uczy kochać wolność i prawdę, rozprasza chmury pesymizmu i pokazuje słoneczną radość życia. Prawdziwy zaś i niecodzienny talent autora sprawia, że bardzo nawet wybredny czytelnik odłoży te tomy z zadowoleniem i z żalem. Bo nie nudził się, nie złościł i nie drżał w niezdrowem podnieceniu. Pił ożywczą wodę z czystego, zimnego źródła.

I jeszcze jedna uwaga: dobrze się stało, że w powodzi najróżniejszego rodzaju tłomaczeń, które poprostu zalały nasz rynek księgarski, krzywdząc książkę polską i jakże często „paskudząc" atmosferę, ukazały się właśnie te kulturalne książki. Może to szczęśliwy znak jakiegoś polepszenia, którego się od tak dawna nadarmo spodziewamy.

Powieści André Armandy: „Tragedja serc" i Wyspa Umarłej" w tłomaczeniu Zofji Koskowej — wydawnictwo „Płomień" 1929 r.

Autor tych powieści cieszy się w swej ojczyźnie znaczną popularnością. Przyznać trzeba, że utwory jego są nietylko bardzo zajmujące, ale mają też często głębsze podłoże psychologiczne, co nadaje im niecodzienną wartość. Terenem akcji jest Paryż, Riviera, Chiny i Rosja, tłem rewolucja bolszewicka i zatargi chińsko - rosyjskie.

Tłomaczenie p. Z. Koskowej ma duże walory literackie.

Mieczysław Themerson — Bunt krwi — Powieść— Instytut Wydawniczy „Renaissance", Warszawa— Poznań — Kraków — Lwów — Stanisławów. Str. 238.

Kiedy Magdalena Samozwaniec wydała swój, tak dziś słynny, znakomity romans parodję, wielu poważnych autorów wyprawiało „wspaniałe miny" ze szczerej radości, a inni myśleli poważnie o napisaniu podobnej satyry ku powstrzymaniu zapałów niezliczonej plejady zacnych grafomanów. Myślałem, że i p. Themerson taką właśnie „machnął" satyrę, lecz niestety, p. Themerson powieść swoją traktuje poważnie! A pisze! Doprawdy, tak wspaniale górnolotnych zdań już dawno nie czytałem. Np. „Pod świeżą wonią jej parującej skóry, rozpalającej wszystkie zmysły, wyczuwiał najfantastyczniejsze sprawy miłosne. Wytworzył wyobraźnią z jej ciała siatkę, której każde oczko wysysał żądłem pocałunków, kolejno otulając całą jej istotę w senność złotawą". Albo: „Na duszy jej tronie zasiadł władca królewski — entuzjazm, promieniujący koroną świeżego zaczynu do nowej fazy powstania latorośli z plennego łona matki, na własną odpowiedzialność". Albo jeszcze: „Panny, w gorących opałach uwiedzione moralnie, albo zgwałcone fizycznie, a i nieraz wąchające prochu lekkomyślnie lub rozpustnie; wdówki, co we flircie nieopatrznie posunęły się zbyt daleko i głęboko" i t. d., i t. d.

Całość, która wedle zapowiedzi na okładce ma być „powieścią sensacyjno-obyczajową", przedstawiającą „chorobę współczesnej młodzieży i Erosa na ławie szkolnej", jest niedołężnym, pokracznym romansem, w którym nie czytamy wprawdzie wiele o szkole i młodzieży, ale zato dusimy się na każdym kroku gryzącym dymem napuszonych, erotycznych frazesów i „zdumiewamy" „bogactwem" języka tego nowego „powieściopisarza".

Prawdziwe zaś zdumienie ogarnia nas na myśl, że w czasie, kiedy powieści nieprzeciętnych autorów latami oczekują na wydanie, tego rodzaju niepotrzebne i szkodliwe „Bunty krwi" ukazują się w doskonałem wydaniu i jaskrawością okładki i napisów usiłują zjednać sobie naiwnych czytelników. Z obowiązku przeto przed tą napuszoną grafomanją wszystkich ostrzegamy!

Wiktor Przecławski.

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa

M.

NARZECZONA.

Narzeczona wyszywa na kanwie, a tymczasem podły narzeczony grywa w klubie w karty, całuje kochankę, lub zaciąga długi. Narzeczona nic o tem nie wie.

Jej ufna duszyczka nie przypuszcza nawet, że ten, któremu niebawem przysięgnie wierność i miłość dozgonną, jest już dziedzicznym alkoholikiem, gotów stać się nałogowym morfinistą, a po za tem posiada troje nielegalnych dzieci.

Narzeczona nie wie o niczem. Łowiąc rybki na brzegu morza, zbierając piękne muszelki, narzeczona wyciąga z radością ręce ku niebu ciesząc się miłością i światem.

Napróżno ostrzegają ją przyjaciele, napróżno wysyłają listy anonimowe i podrzucają koszyki z niemowlętami narzeczonego — młoda dziewczyna nie wierzy, jest ufna i kochająca. Jest taką do dnia, gdy narzeczony pocałuje ją zbyt brutalnie, wówczas otwierają jej się oczy na wiele niezauważonych dotychczas sprawek i zaczyna przypuszczać coś strasznego.

Co czynić, co czynić — myśli biedna narzeczona, a tymczasem termin ślubu zbliża się z zatrważającą szybkością, a ślubna suknia już gotowa.

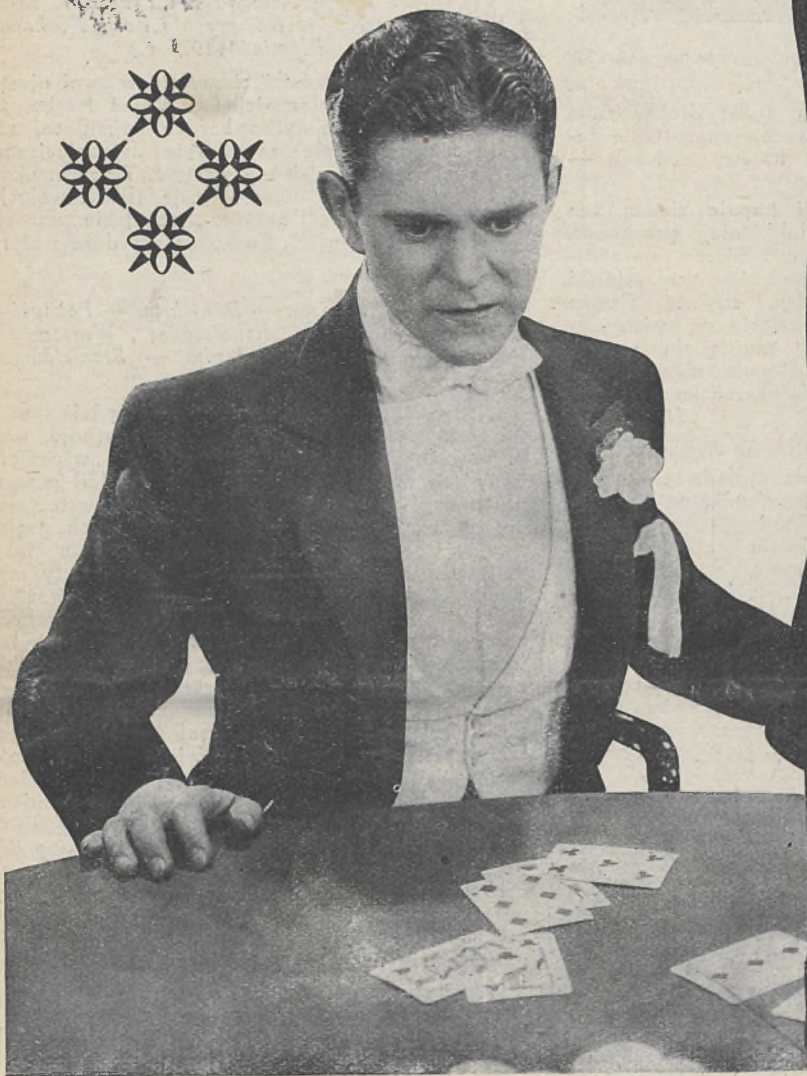
I niewiadomo, co spotkałoby biedną narzeczoną, gdyby nie to, że z woli tradycji filmowej sądzone jest jej zawsze szczęście i spokój.

Więc oto w pędzącym pociągu znajduje się jej przyjaciel z lat dziecinnych, przyjaciel, który kocha ją miłością szczerą i niewinną.



I to w chwili gdy narzeczony ją obraża brutalnem postępowaniem, zjawia się przyjaciel i ratuje ją od nieszczęścia, od możliwości dziedzicznie obciążonych dzieci, od hańby i wiecznego zmartwienia.

(fot. Paramount, Metro.)





„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 72-85 i 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1 200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.